

HARLEQUIN® *Romans*™



Minikolekcija
NORA ROBERTS

Nora Roberts

Piešņ gār

Nora Roberts

Pieśń gór

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Krajobraz w południowo-wschodnim Wyomingu jest zaskakująco różnorodny. Rozległe równiny i faliste wzgórza graniczą z kamienistymi górami i gęstymi lasami sosnowymi. Widok z kuchennego okna był zdumiewający. Samanta Evans przerwała swoje zajęcia, żeby się nim delektować.

Góry Skaliste przesłaniały większą część nieba. Ich szczyty okrywał śnieg, mimo że była to już końcówka marca.

Samanta zastanawiała się, czy kolejną zimę także spędzi w Wyomingu. Marzyła o długich spacerach, wietrze smagającym jej policzki i o szalonych górskich przejażdżkach konnych, podczas których śnieg rozpryskuje się spod końskich kopyt. Niestety wiedziała, że te marzenia nie spełnią się, dopóki jej siostra nie poczuje się na tyle dobrze, że będzie mogła zostać w domu bez opieki.

To właśnie Sabrina była powodem, dla którego Samanta była w Wyomingu - krainie majestatycznych gór i cichych równin. Krainie tak różnej od Filadelfii, z jej wieżowcami i korkami ulicznymi.

Siostry zawsze były ze sobą bardzo związane. Łączyła je, typowa dla bliźniąt, specyficzna, niemal magiczna więź. Wyglądem różniły się od siebie, mimo że były

tego samego wzrostu i podobnej budowy ciała. Oczy Samanty były ciemne, chabrowoniebieskie, szeroko osadzone, z gęstymi rzęsami. Sabrina miała oczy koloru szarego. Obie miały owalne twarze, nieduże, proste nosy i ładnie wykrojone usta. Samanta miała włosy do ramion i nosiła grzywkę. Jej włosy były gęste, brązowe i miały złote refleksy. Sabrina była krótko ostrzyżoną blondynką. Jej loki delikatnie otaczały twarz.

Siostry łączyła silna i trwała więź. Nawet kiedy Sabrina poślubiła Dana Lomaksa i przeniosła się na jego ranczo w dorzeczu Laramie, stosunki między nimi nie uległy zmianie. Pozostawały w kontakcie telefonicznym i listownym, co pomagało Samancie złagodzić poczucie samotności. Cieszyło ją szczęście siostry i wspólnie z nią radowała się oczekiwanym dzieckiem. Podczas rozmów telefonicznych obie często śmiały się i snuły różne plany.

Tak było do dnia, w którym zadzwonił Dan.

Dzwonek telefonu wyrwał Samantę z głębokiego snu. Sięgnęła po słuchawkę i usłyszała w niej podekscytowany głos szwagra.

- Samanto - zaczął bez powitania. - Sabrina jest bardzo chora. Udało nam się uratować dziecko, ale ona musi przez najbliższy czas bardzo na siebie uważać. Będzie musiała zostać w łóżku pod stałą opieką. Staramy się znaleźć kogoś, kto mógłby...

Samanta nie wahała się ani chwili. Chodziło o jej siostrę. Osobę, którą kochała najbardziej na świecie.

- Nie martw się, Dan. Przyjadę tak szybko, jak to będzie możliwe.

Po niespełna dwudziestu czterech godzinach była już w samolocie lecącym do Wyomingu.

Tym razem do rzeczywistości sprowadził Samantę gwizd czajnika. Zaparzyła ziołową herbatę i ustawiła delikatne filiżanki z roślinnym wzorem na srebrnej tacy.

- Czas na herbatę - zawołała, gdy tylko weszła do salonu. Sabrina, wsparta na poduszkach, leżała na sofie. Mimo że jej twarz zdobił ciepły uśmiech, na policzkach widać było nienaturalną bladość.

- Jak na filmach - powiedziała z przekąsem, widząc siostrę ustawiającą srebrną tacę na sosnowym stole.

- Mogę sobie wyobrazić. - Samanta nalała herbatę do filiżanek. - Ale powinnaś się już do tego przyzwyczaić. Minał już prawie miesiąc. - Podniosła dużego, szarego kocura z kolan Sabriny i posadziła go na swoich. Podała siostrze filiżankę i przysiadła na kocu. - Czy Shylock dotrzymywał ci towarzystwa? - spytała, patrząc na kota.

- On jest wielkim pieszczochem. - Sabrina wypła łyk herbaty i uśmiechnęła się ironicznie. - Łaskawie pozwolił mi drapać się za uszami. Muszę przyznać, że bardzo się cieszę, że go ze sobą przywiozłaś. Zabawa z nim to moja najlepsza rozrywka - westchnęła i odchyliła się na poduszki. - Wstyd mi, że leżę tutaj i użalam się nad sobą. Ale z drugiej strony wiem, że jestem szczęściarą. - Położyła dłoń na brzuchu i czule go pogładziła. - Przecież będę miała dziecko.

- Masz prawo trochę marudzić - odpowiedziała Sa-

manta współczująco. - Przywykłaś do aktywnego trybu życia.

- Nie mam prawa się skarżyć. Ty porzuciłaś pracę i dom, żeby tu przyjechać i opiekować się mną. - Kolejne głębokie westchnienie wyrwało się z jej piersi, a w szarych oczach pojawiły się łzy. - Gdyby Dan powiedział mi, co planujesz zrobić, nigdy bym się na to nie zgodziła.

- I tak byś mnie nie powstrzymała. - Samanta próbowała rozweselić Sabrinę. - Od tego ma się starszą siostrę.

- Nigdy nie zapomnisz, że jesteś o siedem minut starsza! - Oczy Sabriny rozjaśniły się, a delikatny uśmiech pojawił się w kącikach jej ust.

- Oczywiście, że nie. To właśnie daje mi przewagę nad tobą.

- A twoja praca, Sam?

- Nie martw się. - Samanta machnęła lekceważąco ręką. - Znajdę inną pracę. W końcu w tym kraju jest więcej niż jedno liceum i wszystkie muszą mieć nauczycieli gimnastyki. Poza tym potrzebuję wakacji.

- Wakacji!? - wykrzyknęła Sabrina. - Sprzątanie, gotowanie i opieka nad chorą - to mają być wakacje?

- Moja droga, próbowałaś kiedykolwiek uczyć tłuste, kompletnie pozbawione zmysłu koordynacji nastolatki ćwiczeń na poręczach? Cóż, każdy ma inną wizję wakacji.

- Sam, ale z nas para. Ty, ze swoimi nastolatkami i ja, z moimi niedoszłymi Mozartami. Bóg jeden wie, ile razy zmywałam masło orzechowe z klawiszy starych organów Wurlitzera, zanim pojawił się Dan i zabrał mnie daleko od tego ćwiczenia gam i tych problemów

z cudownymi dziećmi. Czy myślisz, że mama marzyła o takiej przyszłości dla nas, kiedy wysyłała nas na te wszystkie lekcje?

- Ale za to jesteście bardzo wszechstronne. - Samanta uśmiechnęła się drwiąco. - Nie jesteś jej wdzięczna? Zawsze nam mówiła, że pewnego dnia będziemy jej jeszcze dziękować za lekcje baletu i gry na fortepianie.

- Lekcje śpiewu i jazdy konnej - podchwyciła Sabrina, wyliczając na placach kolejne pobierane nauki i uprawiane dyscypliny sportowe. - Gimnastyka i pływanie - kontynuowała ze śmiechem.

- Biedna mama. - Samanta ułożyła kota w wygodniejszej pozycji. - Chyba oczekiwała, że jedna z nas posłubi prezydenta i pragnęła, byśmy były do tego przygotowane.

- Nie powinnyśmy się z tego nabijać. - Sabrina otarła oczy chusteczką. - Te lekcje jednak przydały nam się w życiu.

- To prawda. Na przykład do dziś potrafię przyrządzać suflet szpinakowy.

- Okropność! - Samanta skrzywiła się, a siostra tylko pokiwała głową. - No ale masz przecież swoje medale - przypomniała jej Sabrina.

- Tak, mam medale i wspomnienia. Czasem wydaje mi się, że to wszystko działo się wczoraj, a nie prawie dziesięć lat temu.

- Wciąż pamiętam, jak bardzo byłam przejęta, kiedy pierwszy raz startowałam na olimpiadzie. I chociaż mnóstwo razy widziałam cię ćwiczącą na poręczach, mimo wszystko trudno było mi uwierzyć, że to naprawdę ty. No

a moment, w którym otrzymałaś swój pierwszy olimpijski medal, był najszczęśliwszą chwilą w moim życiu.

- Dobrze pamiętam, jak po niepowodzeniu na równoważni myślałam, że już nic mi się nie uda. Nogi miałam jak z waty i byłam śmiertelnie przerażona, że się ośmieszę. I wtedy właśnie zobaczyłam na widowni mamę. Pomyślałam, jak wiele dla mnie zrobiła i jak wiele poświęciła. Nie mam na myśli pieniędzy, ale wsparcie duchowe, jakiego mi udzielała przez lata treningu. Musiałam udowodnić, że to nie poszło na marne, musiałam dobrym występem jakoś jej to wynagrodzić. Chociaż wiedziałam, że nigdy mi nie powie, że jest ze mnie dumna.

- Udowodniłaś to. - Sabrina posłała siostrze ciepły uśmiech. - Chociaż nie zwyciężyłaś na poręczach i w ćwiczeniach wolnych. Udowodniłaś to samym startem w zawodach. A mama była z ciebie bardzo dumna. Nawet jeśli tego nigdy nie powiedziała.

- Ty zawsze mnie rozumiałaś. Zatem zrozum teraz wreszcie i zaakceptuj ten oczywisty fakt, że bardzo chciałam tu do ciebie przyjechać. Pragnę być tutaj. Czuję, że jestem stąd.

- Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. - Sabrina przytrzymała jej dłoń. - Nie rozumiem też, jak cokolwiek do tej pory mogłam zrobić bez ciebie.

- Poradzisz sobie. Masz przecież Dana.

- Masz rację - przytaknęła Sabrina. - Bardzo za nim tęsknię. Powinien niedługo być w domu - powiedziała, zatrzymując wzrok na zegarze.

- Coś wspominał, że będzie chciał dzisiaj sprawdzić

ogrodzenie. Wciąż wyobrażam go sobie, jak ściga koniokradów lub walczy z Indianami.

- Widać, że żyjesz w mieście - roześmiała się Sabrina. - Wiesz, Sam, ja już nawet nie bardzo pamiętam, jak wygląda Filadelfia. Wiem, że Jake Tanner pojechał dziś z Danem sprawdzać ogrodzenia.

- Jake Tanner? - spytała Samanta.

- Och, tak. Jeszcze go nie poznałaś. Północno-zachodnia część rancza należy do niego. Ranczo Lazy L to też jego teren. Jest właścicielem połowy hrabstwa.

- Baron ziemski - podsumowała Samanta.

- Bardzo trafne określenie - zgodziła się Sabrina.

- Jest też właścicielem rancza Double T, które zrobiło na mnie szczególne wrażenie. Prowadzi je po mistrzowsku. Dan często powtarza, że Jake jest nie tylko świetnym ranczerem, ale ma również smykałkę do interesów.

- Pasuje do opisu niezłego nudziarza - zastanowiła się Samanta, kręcąc nosem. - Zapewne ma szpakowate włosy, ogorzałą twarz, cienkie, podkreścone wąsiki i okazały, wylewający się ze spodni brzuszek...

- Pudło, siostrzyczko - Sabrina roześmiała się serdecznie. - Jake Tanner nijak się nie ma do tego opisu. Powiem więcej, jest facetem, na którego miło patrzeć. A ponieważ na dodatek jest bogaty, wolny i dobrze mu się wiedzie, większość kobiet do czterdziestki wariuje w jego obecności.

- Wygląda na niezłą partię. Mama z miejsca by go pokochała - chłodno zauważyła Samanta.

- Zdecydowanie masz rację - zgodziła się siostra.

- Jednak Jake jak na razie sprytnie unika sideł. Chociaż,

wnioskując z tego, co mówi Dan, nie ma nic przeciwko tym zalotom.

- Teraz to dopiero wygląda mi na zarozumiałego nudziarza - oceniła Samanta, głaszcząc kota.

- Trudno go winić za to, że chętnie bierze to, co mu oferują. - Sabrina broniła Tannera. - Przypuszczam, że niedługo skończą się te podchody i Jake da się poprowadzić do ołtarza. Lesley Marshall, której ojciec ma ranczo sąsiadujące z terenami Jake'a, ma na niego oko. Być może jest trochę rozpieszczona, jednak jest też kobietą bardzo zdecydowaną, a jednocześnie niezwykle bogatą, zatem wróżę jej sukces.

- To będzie idealna para.

- No może... - mruknęła pod nosem Sabrina. Zmarszczyła czoło i dodała: - Lesley jest miła, dopóki jest jej to na rękę. Dla Jake'a to najwyższy czas, żeby znaleźć sobie żonę i założyć rodzinę. Bardzo go lubię i wolałabym, żeby związał się z kimś, kto ma w sobie więcej ciepła niż Lesley.

- Kazanie mężatki z długim stażem - zadrwiła Samanta, zwracając się do drzemiącego i niezainteresowanego rozmową kota. - Ledwo minął rok szczęśliwego związku, a kochana siostrzyczka już nie może patrzeć na ludzi bez obrączki.

- To prawda. Niedługo wezmę się za ciebie.

- Dziękuję za ostrzeżenie.

- W Wyomingu aż roi się od przystojnych kowbojów i ranczerów - uśmiechnęła się Sabrina, widząc na twarzy Samanty grymas niezadowolenia. - To nie najgorsze miejsce na osiedlenie się.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby osiąść tu na stałe. Jestem zafascynowana tutejszymi rozległymi przestrzeniami i przyrodą. Ale - zrobiła znaczącą pauzę, by zwrócić uwagę Sabriny - ani kowboje, ani ranczerzy nie figurują w moich planach na najbliższą przyszłość.

- Teraz wracam do kuchni dopilnować pieczeni. A ty, nieuleczalna romantyczko, masz to. - Samanta podała siostrze książkę ze stołu. - Czytaj ulubione historie miłosne.

- Zmienisz zdanie, kiedy się zakochasz - zawyrokowała Sabrina z przekonaniem.

- Jasne. - Samanta uśmiechnęła się pobłaźliwie. - A gdy już to się stanie, wokół bić będą w dzwony, a fajerwerki wybuchną strumieniami kolorowych gwiazd. - Poklepała siostrę po ramieniu i wyszła z pokoju, dopowiadając: - A anioły będą śpiewać, a płomień rozjaśni niebo...

- Jeszcze się przekonasz - krzyknęła za nią Sabrina.

Samanta, przygotowując warzywa do wieczornego posiłku, podśmiewała się pod nosem z pomysłów i planów siostry.

- Miłość - mruknęła ironicznie.

Pomyślała, że jej jedyne doświadczenia związane z tym jakże niełatwym uczuciem polegają na odrzucaniu niechcianych zalotów niecierpliwych samców. Nie zdarzyło się, żeby choć jeden mężczyzna wzbudził w niej choćby cień zainteresowania. Ale czymkolwiek była ta miłość, bez wątpienia miała duży wpływ na Sabrinę. Młodsza z bliźniaczek zawsze była delikatniejsza i bardziej ulegała uczuciom. Także teraz, chociaż

Sabrina starała się być silna i dzielna, Samanta wiedziała, że siostra, w obawie przed poronieniem, potrzebowała jak nigdy dotąd wsparcia i miłości Dana.

Ledwie to pomyślała, a jak na zawołanie za oknem pojawiły się dwie sylwetki jeźdźców. Ściągnęła kurtkę z wieszaka i wyszła naprzeciw nadjeżdżającym. Kiedy Dan i jego towarzysz zbliżyli się, powitała ich z uśmiechem i pozdrowiła gestem dłoni. Już z daleka widziała zatroskaną twarz Dana, która jednak zmieniła się, kiedy na nią spojrział.

- Czy z Sabriną wszystko w porządku? - zapytał, podjeżdżając do niej.

- Tak. Ma się dobrze - zapewniła Samanta. - Jest tylko trochę niespokojna i mocno stęskniona za swoim mężem.

- Lepiej dzisiaj jadła?

Ciepły uśmiech rozświetlił twarz Samanty, sprawiając, że wyglądała zdumiewająco pięknie.

- Miała lepszy apetyt. A w każdym razie bardzo się starała. - Samanta uniosła rękę, głaszcząc gładką skórę wierzchowca, którego dosiadał Dan. - Wszystko, czego teraz potrzebuje, to twoje towarzystwo.

- Będę przy niej, jak tylko rozsiodłam konia.

- Och Dan, na litość boską. Niechże się tym zajmie twój pomocnik albo ja sama to zrobię. Sabrina cię potrzebuje.

- Ale...

- W porządku, szefie - odezwał się drugi jeździec, któremu Samanta podziękowała spojrzeniem. - Zaopiekuję się twoim koniem, a ty pędź do swojej żoneczki.

Dan uśmiechnął się do niego szeroko i zsiadł z konia.

- Dzięki - powiedział, wręczając mu wodze, po czym zwrócił się do Samanty: - Idziesz do środka?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Potrzebujecie tej chwili tylko dla siebie, a ja zaczerpnę trochę świeżego powietrza.

- Dzięki, Samanto - spojrzał na nią z wdzięcznością i ruszył w kierunku domu.

Samanta czekała, aż drzwi za nim się zamkną. Przeszła kilka kroków i znużona opadła na pniak, używany do rąbania drewna. Opierając plecy o ogrodzenie, odetchnęła głęboko orzeźwiająjącym, chłodnym powietrzem. Napięcie związane z opieką nad siostrą i zmęczenie prowadzeniem domu oraz gotowaniem posiłków dawały o sobie znać.

- Jeszcze kilka dni... - powiedziała sama do siebie, zamykając oczy. - Jeszcze kilka dni i przyzwyczaję się do nowego rytmu, i znów poczuję się sobą. - Gruba sztruksowa kurtka chroniła ją przed chłodem. Odchyliła głowę, pozwalając, by wiatr smagał jej policzki, a myśli odpływały wraz z nim.

- Niezłe miejsce na drzemkę.

Samanta usiadła gwałtownie, wytrącona ze snu. Jej spojrzenie powędrowało w górę, by dostrzec, kto ją obudził.

Miał szczupłą, opaloną twarz, wyraziste kości policzkowe. Jego oczy były intrygujące, głęboko osadzone i ukryte pod gęstymi rzęsami. Ale jej uwagę przykuwał głównie ich kolor - intensywna, czysta zieleń. Jego rdzawozłote włosy opadały lokami spod mocno naciśniętego na głowę kowbojskiego kapelusza.

- Dobry wieczór pani. - Mimo iż w geście powitania dotknął dłonią runda swego kapelusza, jego niezwykle oczy zdawały się z niej szydzić.

- Dobry wieczór - odpowiedziała, starając się, aby jej głos brzmiał godnie.

- Od zbyt długiego siedzenia na dworze po zachodzie słońca można nabawić się przeziębienia. Poza tym wiatr się nasila. - Stał na szeroko rozstawionych nogach, ręce trzymał wciśnięte w kieszenie i mówił bardzo powoli, niemal cedząc słowa przez zęby. - Nie powinno się wychodzić na dwór bez kapelusza. - Mówiąc to, wskazał na jej głowę. - Kapelusz pomaga zatrzymać ciepło.

- Nie jest mi zimno. - Przez chwilę obawiała się, że szczerkanie zębami ją zdradzi. - Chciałam tylko... zaczerpnąć trochę powietrza.

- Tak, tak - pokiwał głową ze zrozumieniem. Popatrzył ponad nią na ostatnie promienie zachodzącego za szczyty gór słońca. - To wspaniały wieczór na siedzenie na dworze i obserwowanie zachodu słońca.

Delikatny uśmiech rozjaśnił twarz nieznanego. Mimo że Samanta była zakłopotana, że zastał ją śpiącą, odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech.

- W porządku, przyznaję się. Zasnęłam tutaj. Nie sądzę, że uwierzyłbyś, gdybym próbowała cię przekonać, że tylko siedziałam z zamkniętymi oczami.

- Nie, proszę pani.

- No tak. - Wstała ze swojego miejsca. Była nieco zaskoczona, że nadal musi wysoko zadzierać głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. - Jeśli nikomu nie powiesz

ani słowa o tym, że zasnęłam, to zaproszę cię na kawałek szarlotki, którą upiekłam na podwieczorek.

- To bardzo kusząca propozycja - odpowiedział, ponownie unosząc dłoń i trącąc rondo kapelusza. - Uwielbiam szarlotki. Jest tylko jedna lub dwie rzeczy, które lubię jeszcze bardziej.

Przyjrzał się jej uważnie. Samanta poczuła, że jej serce zaczyna bić szybciej. W tym mężczyźnie było coś niecodziennego, niespotykanego. Siła kontrastująca z powolnie wypowiedzianymi słowami i ciągłym uśmiechem w oczach. Zsunął kapelusz na tył głowy, uwalniając spod niego burzę loków.

- Przysięgam, że nie powiem ani słowa. - Wyciągnął ku niej rękę, aby potwierdzić obietnicę, a ona, podając mu dłoń, odwzajemniła uścisk.

- Dzięki. - Poczuła ciepło dotyku jego ręki i nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Wyrwała gwałtownie swą dłoń z jego uścisku. Zastanawiała się, co też było w nim takiego, że zburzył jej opanowanie, z którego zawsze była tak dumna. - Przepraszam za to, co powiedziałam o rozsiodłaniu konia Dana. - Mówiła pośpiesznie, by zatuszować swoje zmieszanie, którego przyczyny ciągle nie rozumiała.

- Nie ma za co przepraszać - zapewnił ją. Łagodne brzmienie jego głosu onieśmieliło ją. -Wszyscy lubimy panią Lomax.

- Tak, więc, ja... - zająknęła się i odsunęła od niego. - Lepiej wejdę do środka. Dan pewnie jest głodny. - Zauważyła w oddali konia, należącego do nieznanego. Koń nadal był osiodłany i czekał cierpliwie na

jeźdźca. - Nie rozsiodłałeś swojego konia. Czy jeszcze nie skończyłeś pracy na dzisiaj?

Sama zdziwiła się, słysząc niepokój w swoim głosie.

Dlaczego miałabym się przejmować? - pomyślała.

- O tak, proszę pani. Już skończyłem. - W jego głosie słyhać było rozbawienie, ale Samanta nie zwróciła na to uwagi.

Z zainteresowaniem patrzyła na konia.

To było piękne, dumne zwierzę. Ciemny kasztan o lśniącej sierści.

Wysoki w kłębie, przemknęło jej w myślach. Kłasyczna budowa, bujna falująca grzywa i dumna głowa. Arab.

Samanta знаła się na koniach i już na pierwszy rzut oka rozpoznała ogiera pełnej krwi.

- To arab - powiedziała trochę do siebie.

- Tak, proszę pani - przyznał jej rację.

Spojrzała na niego uważnie.

- Nikt normalnie nie jeździłby ot tak sobie na koniu, który jest wart pół rocznej pensji - stwierdziła, przyglądając mu się podejrzliwie. - Kim jesteś?

- Jake Tanner, proszę pani. - Wydawało się, że uśmiecha się coraz szerzej.

Unióś dłoń do róna kapelusza.

- Miło panią poznać.

Baron ziemski z kobietą u swoich stóp, przemknęło Samancie przez głowę.

Oczy jej pociemniały z gniewu.

- Dlaczego nie powiedziałeś?

- Właśnie to zrobiłem - zauważył spokojnie.

- Och, dobrze wiesz, co mam na myśli. - Odrzuciła do tyłu gęste włosy. - Myślałam, że jesteś jednym z pracowników Dana.

- Jasne, proszę pani. - Pokiwał głową.

- Przestań z tym „proszę pani” - zażądała. - Cóż to za żałosna sztuczka. Wystarczyło, żebyś otworzył usta i przedstawił się. Sama rozsiodłałabym konia.

- Nie ma sprawy. To nie był dla mnie żaden problem, a ty mogłaś sobie odpocząć.

- A więc, panie Tanner, miał pan niezłą uciechę moim kosztem. Mam nadzieję, że dobrze się pan bawił - powiedziała chłodno.

- Tak, proszę pani - uśmiechnął się szeroko. - Doskonale.

- Prosiłam, żebyś przestał mówić do mnie „proszę pani”. - Zagryzła wargi ze złości. - Ech, zapomnijmy o tym.

- Potrząsnęła głową i zrobiła kilka kroków w kierunku domu. Po chwili jednak odwróciła się poirytowana: - Zauważyłam, że pana akcent nieco się zmienił, panie Tanner.

Nie odpowiedział ani słowa. Stał w nonszalanckiej pozycji, z rękami wciśniętymi w kieszenie. Jego twarz w nadciągającym zmierzchu była coraz mniej widoczna. Samanta znów odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

- Hej! - zawołał za nią. Odwróciła się ku niemu, zanim zdołała pomyśleć. - Czy dostanę obiecany kawałek szarlotki?

W odpowiedzi obrzuciła go pełnym oburzenia spojrzeniem. Kiedy weszła do domu, w oddali słyszała jeszcze jego niski, głęboki śmiech.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dźwięk zatrzasniętych drzwi wciąż brzmiał w całym domu, kiedy Samanta ze złością wpadła do salonu. Na widok wzburzenia malującego się na twarzy siostry Sabrina opadła na poduszki, chwyciła leżącą na jej kolanach książkę i udawała, że czyta. Tymczasem Dan zupełnie nie zauważył wściekłego spojrzenia i rozpalonych policzków swojej szwagierki. Powitał ją przyjacielskim, szczerym uśmiechem.

- A gdzie jest Jake? - zapytał. - Tylko mi nie mów, że poszedł do domu i nie chciał napić się z nami choćby filiżanki kawy!

- Może iść nawet do diabła, bez wypicia swojej cholernej kawy.

- Pewnie chciał dotrzeć do domu przez zmrokiem - domyślał się Dan. Pokiwał głową, a w jego oczach można było dostrzec rozbawienie.

- Nie udawaj niewiniątka, Danie Lomax! - ostrzegła go Samanta. - To był paskudny żart. Pozwoliłeś, żebym myślała, że to jeden z twoich pomocników i...

- Usłyszała chichot, dobiegający zza trzymanej przez Sabrinę książki. - Cieszę się, że i ciebie bawi fakt, że twoja siostra zrobiła z siebie pośmiewisko - zwróciła się w tamtą stronę.

- Oj, Samanto, nie gniewaj się. - Sabrina ostrożnie wychyliła się zza książki. - Po prostu trudno nam uwierzyć, że ktokolwiek mógł pomylić Jake'a Tannera z pomocnikiem na ranczu.

Sabrina zaśmiała się głośno, co Samantę dobiło ostatecznie. Nad radością, jaką sprawiał jej widok uśmiechu na twarzy siostry, wzięła górę irytacja, że tak się pozwoliła sprowokować i dała powód do drwin.

- Doprawdy? A co jest w nim takiego wyjątkowego? - zapytała. - Ubiera się jak każdy kowboj, którego tu widziałam, a jego kapelusz najwyraźniej ma bogatą przeszłość - dodała. Jednak przypomniała sobie, że w tym mężczyźnie było coś wyjątkowego, czego jednak nie umiałyby dokładnie określić. Odsunęła szybko tę rozpraszającą myśl. - Cholerny kawalarz! - zwróciła się ponownie do Dana. - Zupełnie mnie zmylił, nazywając cię szefem i wciąż zwracając się do mnie „proszę pani”.

- Myślę, że po prostu chciał być uprzejmy - zasugerował Dan, uśmiechając się serdecznie.

Samanta posłała mu spojrzenie, którego obawiali się wszyscy jej uczniowie.

- Mężczyźni! - Wzniosła oczy do góry, jakby miała nadzieję, że tam znajdzie wsparcie i zrozumienie dla swego oburzenia. - Wszyscy jesteście tacy sami i wszyscy trzymacie ze sobą sztamę! - Pochyliła się, podniosła z ziemi śpiącego Shylocka i udała się do kuchni.

Na ranczu czas płynął bardzo szybko. Mimo iż Samanta miała dni wypełnione pracą, czuła potrzebę większej aktywności fizycznej, która od dzieciństwa była

częścią jej życia. Zdarzało się, że w domu siostry dokucało jej poczucie izolacji od świata, a zarazem brak poczucia wolności i ruchu, do których przywykła przez lata dyscypliny i treningów.

Jej życie wyraźnie dzieliło się na trzy etapy: te najwcześniejsze, przedolimpijskie, lata olimpiad i lata po nich.

Lata przed olimpiadami były wypełnione nauką, lekcjami tańca i gry na fortepianie oraz ciągłymi upomnieniami matki, by zachowywała się jak dama.

Potem, gdy po raz pierwszy wykonała trudne ćwiczenie na poręczach, zaczął się nowy rozdział w jej życiu. Miała dwanaście lat i niezwykły talent. O nieprzeciętnych umiejętnościach Samanty matkę poinformował jej trener gimnastyki. Ta wydawała się raczej strapiona niż ucieszona osiągnięciami córki. Zakazała Samancie bardziej intensywne treningów, ale dziewczynie udało się w końcu ją przekonać.

Godziny treningów zmieniły się w miesiące, lokalne zawody zmieniły się w okręgowe, a krajowe konkursy - w międzynarodowe turnieje. Kiedy Samanta została wybrana do reprezentacji olimpijskiej, był to kolejny krok na drodze, którą obrała. Znosiła bez narzekania zmęczenie i ból w mięśniach.

Kiedy miała piętnaście lat, zdała sobie sprawę, że musi pomyśleć o czymś innym niż tylko gimnastyka, która dotychczas była całym jej życiem. Musiała wybrać liceum i pomyśleć o przyszłej pracy dającej jej zarobek na własne utrzymanie. Mijały lata i zaczął się okres poolimpijski, kiedy zawody gimnastyczne były już tylko wspomnieniem.

Teraz jej życie znów się zmieniało. Nie umiała jednak powiedzieć, jaka to będzie zmiana. Przyciągały ją góry i równiny, ale odtrącała swe pragnienia, na pierwszym planie stawiając potrzeby siostry.

Dan jest bardzo zajęty, myślała, przygotowując lunch. A Sabrina potrzebuje stałej opieki podczas tego najtrudniejszego okresu. Kiedy poczuje się lepiej, będę miała masę czasu na zwiedzanie okolicy.

Wyprostowała plecy i rozmasowała bolące miejsce na karku. Drzwi kuchni otworzyły się nagle i stanęli w nich Dan i Jake. Samanta spokojnie spojrzała w zielone oczy Jake'a, choć nadal czuła się urażona.

Włosy, które niedbale związała rano na czubku głowy, teraz wymykały się spod upięcia. Ubrana była w czarny, sprany sweter i niemodne, za ciasne, połatane dżinsy. Pohamowała chęć poprawienia włosów. Zmusiła się do uśmiechu i zwróciła się do szwagra:

- Witaj, Dan. Co robisz w domu o tak wczesnej porze? - Celowo zignorowała obecność Jake'a.

- Byłem akurat niedaleko - wyjaśnił Dan. Zdjął płaszcz i kapelusz i zawiesił je na wieszaku. - Jake pomagał mi, więc uznałem, że w imię dobrosąsiedzkich stosunków powinienem zaprosić go na lunch.

- Mam nadzieję, że się nie narzucam, proszę pani.

- Delikatny uśmiech pojawił się na twarzy Jake'a, a drobne zmarszczki uwidoczniły się wokół jego oczu.

- Nie narzuca się pan, panie Tanner. Ale będzie się pan musiał zadowolić zwykłym gulaszem.

- Moje ulubione danie. - Zawadiacko puścił do niej oko. - Zaraz po szarlotce - dokończył.

Samanta posłała mu lodowate spojrzenie i odwróciła się, by odgrzać to, co zostało z wczorajszej kolacji.

- Idę powiedzieć Sabine, że jestem w domu - poinformował ich Dan i wyszedł z kuchni. Samanta robiła wszystko, aby zignorować obecność Jake'a. Nerwowo mieszała gulasz.

- Pięknie pachnie. - Jake oparł się o kuchenkę.

Podeszła do szafki, żeby wyjąć naczynia. Kiedy odwróciła się, by ustawić je na okrągłym kuchennym stole, zauważyła, że Jake zdjął kurtkę. Od razu dostrzegła, że był świetnie zbudowany. Dopasowane dzinsy doskonale podkreślały jego szczupłą sylwetkę, a opięta na szerokich ramionach i klatce piersiowej flanelowa koszula zwężyła się ku szczupłej talii. Nie było na nim grama zbędnego tłuszczu.

- Nie jesteś zbyt rozmowna - wycedził przez zęby.

Odwróciła się z zamiarem, że zmrozi go wzrokiem. Jego twarz była kilka centymetrów od niej. Miała wrażenie, że na moment jej umysł przestał funkcjonować.

- Nie mam panu nic do powiedzenia, panie Tanner.
- Starła się, by jej głos brzmiał naturalnie, ale czuła, że krew napływa jej do twarzy.

- No cóż, musimy spróbować to zmienić - odparł, prostując się. - Prawdę powiedziawszy, nie trzymamy się tu tak bardzo etykiety. Mów do mnie po prostu Jake.

- Chociaż powiedział to z charakterystyczną dla siebie flegmą, to słychać było w jego głosie gniewną nutę.

- Niekoniecznie mam na to ochotę, panie Tanner.

Choć niedbały uśmiech nie schodził z jego ust, jednak Samanta zauważyła zmianę w jego spojrzeniu. Pa-

trzymał w sposób, który odróżniał go od przeciętnego ran-czera. W tym wzroku czuło się władzę. Zdziwiła się, dlaczego zauważyła to dopiero teraz.

- Nie sądzę, by twoja ochota miała tu jakiegokolwiek znaczenie. - Zrobił pauzę, odsunął włosy z twarzy i dodał z naciskiem: - Proszę pani. Jestem niemal przekonany, że mam rację.

Powstrzymała się od odpowiedzi i zaczęła nakładać gulasz na talerze. Z zakłopotaniem zauważyła, że trzęsą się jej ręce.

Ta jego arogancka pewność siebie doprowadza mnie do szału, pomyślała. Nigdy nie spotkałam bardziej irytującego mężczyzny. Wydaje mu się, że kobiety będą padać do jego nóg, oczarowane tym surowym, kowbojskim wdziękiem. Cóż, może niektóre dadzą się na to nabrać, ale nie ja.

- W porządku, Sam? - Głos Dana przeciął ciszę.

- Słucham? Och, przepraszam, zupełnie nie słuchałam, co mówiłeś.

- Zjesz lunch razem z Jakiem, dobrze? A ja dotrzymam towarzystwa Sabrinie.

Samanta zaklęła pod nosem.

- Jasne - odpowiedziała z wyraźnie wymuszonym uśmiechem.

Chwilę później siedziała przy jednym stole w towarzystwie mężczyzny, z którym wcale nie miała ochoty przebywać.

- Robisz świetne kluski, Sam - usłyszała. Zirykowało ją, że nazwał ją zdrobniałym imieniem, ale postanowiła to przemilczeć.

- Dziękuję, panie Tanner. To tylko jeden z moich rozlicznych talentów.

- Nie wątpię - zgodził się i kiwnął głową. - Nie zmieniłaś się specjalnie w ostatnim czasie. Nadal wyglądasz jak ta dziewczynka na zdjęciu, które stoi w salonie Sabriny.

Samanta nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Masz na nim pewnie piętnaście lat - kontynuował. - Byłaś nieco szczuplejsza niż jesteś teraz, ale włosy miałaś tak samo trudne do utrzymania w ryzach.

Samanta nadal próbowała zachować spokój, choć słowo „szczuplejsza” wywołało grymas na jej twarzy.

- To było tuż po tym, jak zdobyłaś swój drugi medal.

Dobrze pamiętała zdjęcie, które opisywał. Faktycznie miała wtedy piętnaście lat. Zdjęcie zostało zrobione w chwili, gdy właśnie zakończyła ćwiczenia dowolne. Uwieczniony został na nich wyraz tryumfu malujący się na jej twarzy, gdyż już wtedy wiedziała, że zdobędzie medal.

- Sabrina jest bardzo dumna z ciebie, niemal tak samo, jak ty martwisz się o nią.

Samanta nadal siedziała bez słowa, wpatrując się w przystojną twarz Jake'a. Przez moment zapomniała, o czym rozmawiali, skupiając się na jego rysach, bliźnie na policzku, długich rzęsach. Kiedy to sobie uświadomiła, zawstydzona utkwiała wzrok w swoim talerzu, próbując pozbierać myśli.

- Zapomniałam, że Sabrina ma to zdjęcie - powiedziała. - To było tak dawno.

- To znaczy, że teraz pracujesz w szkole, tak? -

zmienił temat. - Nie wyglądasz jak nauczycielka gimnastyki.

- Tak? Dlaczego?

Potrząsnął głową i nabrał kolejną łyżkę gulaszu.

- Nie wyglądasz na wystarczająco silną ani dojrzałą.

- Zapewniam cię, że jestem zarówno wystarczająco silna, jak i dojrzała, by móc wykonywać swój zawód.

- Dlaczego zostałaś nauczycielką gimnastyki?

- Cóż, ja... - wzruszyła ramionami. - Moja matka bez opamiętania zapisywała nas na różne kursy, kiedy ja i Sabrina byłyśmy dziewczynkami. - Uśmiechnęła się wbrew sobie. - Brałyśmy lekcje wszystkiego. To była recepta naszej mamy na wszechstronność. Dzięki temu Sabrina odkryła talent muzyczny, a ja rozwijałam swe umiejętności fizyczne. Przez pewien czas skoncentrowałam się na gimnastyce. Potem, kiedy musiałam zacząć myśleć o pracy, taki wybór zawodu wydał mi się naturalny. Sabrina uczyła młodzież gry na fortepianie, a ja uczę nieco starszych robić pady i obroty.

- Lubisz swoją pracę?

- W zasadzie lubię - odpowiedziała. - Lubię aktywność, lubię być zaangażowana w pracę wymagającą sprawności fizycznej. Oczywiście czasami ta praca bywa frustrująca. Niektóre moje uczennice wolałyby pewnie flirtować z chłopakami, niż uprawiać ćwiczenia gimnastyczne.

- A ty sama jesteś bardziej zainteresowana treningami niż mężczyznami? - zapytał z szerokim uśmiechem.

- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego - warknęła, rozzłoszczona, że dała się podpuścić.

- Tak sądzisz?

Samanta odwróciła się na krześle i ruszyła w stronę kuchenki.

- Napijesz się kawy?

- Tak, proszę pani. Czarną poproszę.

Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, że na jego twarzy pojawił się uśmiech. Z brzękiem postawiła kubek na stole. Zanim odwróciła się ponownie, aby nalać dla siebie, jej ręka została przytrzymana delikatnym uściskiem, mimo iż dłoń, która ją złapała, nie była ani miękka, ani delikatna.

W krótkiej walce, która rozegrała się między nimi, Samanta z góry była skazana na porażkę. Odkryła, że w szczupłym, patykowatym ciele Jake'a leży niezwykła siła. Doszła w końcu do wniosku, że nie wypada szarpać się w kuchni własnej siostry z jakimś mężczyzną. Pozwoliła, aby jej dłoń spoczywała w jego uścisku. Serce zaczęło łomotać jej w piersi.

- Czego chcesz? - zniżyła głos do chrapliwego szeptu.

Przeniósł wzrok na jej wydatne usta i tak na nie patrzył, że poczuła ciepło na wargach, zupełnie jakby naprawdę ją pocałował. Po chwili ponownie spojrzął w jej oczy.

- Wyglądasz na zdenerwowaną - odparł lakonicznie, jakby zupełnie nic się nie wydarzyło. - Potężna siła drzemie w takim małym ciele.

- Nie jestem mała - zripostowała błyskawicznie. - Tylko ty jesteś duży.

Ponownie spróbowała wyrwać swoją dłoń z uścisku,

szczególnie że czuła, iż jego dotyk powoduje niezrozumiałą słabość jej nóg.

- Twoje oczy są cudowne, kiedy się złościsz. Gniew ci służy. Dzięki niemu jesteś jeszcze piękniejsza - roześmiał się i przyciągnął ją bliżej siebie.

- Jesteś nieznośny. - Wciąż próbowała uwolnić się z jego objęć.

- Dlatego że mówię ci, jaka jesteś piękna? W sumie nie odkrywam nic nowego. Podejrzewam, że już nie raz to słyszałaś.

- Wy, faceci, wszyscy jesteście tacy sami. Potraficie tylko obmacywać.

- Nie obmacuję cię, Samanto - powiedział bardzo łagodnie.

Zarozumiały kowboj zniknął nagle i miała przed sobą przebiegłego, bezlitosnego mężczyznę, który nie tylko doskonale wiedział, czego chce, ale jeszcze potrafił to osiągnąć.

- Ale kiedy następnym razem chwycę twoją dłoń, to nie tylko po to, by ją potrzymać. - Puścił ją i odchylił się na krześle. - Ostrzegam.

Później, gdy Sabrina zasnęła, Samanta przyłapała się na tym, że zamiast czytać, bezmyślnie wpatruje się w książkę. Odrzuciła ją, wstała z kanapy i z zachmurzoną miną podeszła do okna.

Cóż za denerwujący facet, pomyślała. I najwyraźniej wydaje mu się, że nikt nie potrafi mu się oprzeć. Zaczęła krążyć po pokoju, starając się o nim nie myśleć. A najgorsze jest to, że przy swoim wdzięku i sile, jaka z nie-

go emanuje, jest jednocześnie takim butnym i aroganckim typem.

Stwierdziła, że tylko energiczny spacer może pomóc wyrzucić Jake'a Tannera z jej myśli. Ubrała się ciepło i wyszła na zewnątrz. W panującej ciszy z zachwytem podziwiała rozgwieżdżone niebo nad Wyomingiem. Kiedy ruszyła, jej oddech zamieniał się w obłoczki pary. Mroźne powietrze niosło ze sobą zapach sosnowego lasu. Samanta delectowała się tą wonią - mieszaniną aromatu siana, koni i starych drzew. W oddali słyszała samotnego kojota, wyjącego do srebrnej tarczy księżyca. W tej właśnie chwili zdała sobie sprawę, że zakochała się w Wyomingu. Słyszac mowę gór i pól, czuła się naprawdę szczęśliwa, że tu przyjechała.

- Mój Boże, gdzieś ty była tyle czasu? - usłyszała Samanta głos siostry, gdy tylko usiadła w bujanym fotelu przed kominkiem. - Musiałaś przemarznąć na kość.

- Nie. - Samanta wyprostowała nogi i westchnęła. - Tam było tak cudownie. Nigdy dotąd nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak wielkie jest niebo. Chyba nigdy nie przywyknę do tej przestrzeni. Zastanawiam się - zwróciła się do Dana - czy ty też to doceniasz, mieszkając tutaj całe swoje życie. Nawet twoje listy, Sabrino, nie były w stanie w pełni oddać piękna, jakie mnie przed chwilą otaczało. - Przeczesała palcami swoje włosy i jak kot mruczała z zadowolenia. - Dla kogoś, kto przywykł do wielkich wieżowców i korków ulicznych, tutaj jest...

- Odkąd tu jesteś, nie miałaś zbyt wielu okazji, żeby

cokolwiek zobaczyć - przerwał jej Dan. - Jesteś z nami już miesiąc, a nie oddaliłaś się bardziej niż kilometr od domu. Tyle co po odbiór poczty każdego ranka.

- Później będę miała mnóstwo czasu na zwiedzanie. Zostanę tutaj całe lato.

- Nie chcemy, żebyś tkwiła cały czas w domu, Sam - oświadczył Dan i usiadł na poduszkach. - Nawet najbardziej oddana siostra ma prawo do dnia wolnego.

- Nie bądź niemądry. Zabrzmiało to tak, jakbym harowała od zmierzchu do świtu. Przez pół dnia nie mam nic do roboty.

- Wiemy, jak ciężko pracujesz, Sam - powiedziała cicho Sabrina. Spojrzała na Dana, zanim przeniosła wzrok z powrotem na siostrę. - I wiem też, że brak aktywności jest dla ciebie większym ciężarem niż praca. Zdaję sobie też sprawę, jak zdezorganizowałaś sobie życie, żeby tu przyjechać i zająć się mną.

- Oj, Sabrino, na litość boską! - Samanta zaczęła wiercić się nerwowo. - Nigdy nie dowiedziałabym się, jak bardzo kocham Wyoming, gdybym tu nie przyjechała.

- Nie wymiguj się, Sam. - Dan uśmiechnął się, widząc, że Samanta, zakłopotana, wzrusza ramionami. - Jesteśmy ci wdzięczni i musisz przywyknąć do tego, że będziemy to wciąż powtarzać. Ale jutro zamierzamy pokazać, jak bardzo jesteśmy ci wdzięczni, nie tylko w słowach. Wyrzucamy cię na cały dzień.

- Co takiego? - zapytała zaskoczona i spojrzała na szczere uśmiechy siostry i szwagra.

- Dokładnie to, co słyszałaś. - Dan uśmiechnął się szerzej, widząc, że Samanta marszczy brwi. - Jutro jest

niedziela i zostanę ze swoją żoną w domu. A ty... - Wskazał na nią palcem. - Wybierz sobie konia iw drogę!

Samanta gwałtownie wyprostowała się.

- Mówisz serio? - Twarz jaśniała jej radością, co wywołało kolejny uśmiech na twarzy Dana.

- Tak, siostrzyczko. Mówię serio. Powinnaś mieć więcej przyjemności.

- I mogłabym... jabłkowitego... - jąkała się z podniecenia. - Rzeczywiście pozwoliłbyś mi go wziąć?

- Ledwie przejrzałaś mój dobytek, a wydaje się, że znasz się na moich koniach - zaśmiał się Dan. - Spook to świetny wierzchowiec. Trochę rozbrykany, ale po tym, co mi o twoich umiejętnościach mówiła Sabrina, jestem pewien, że dasz sobie z nim radę.

- Och, z pewnością. I obiecuję, że będę się z nim obchodzić delikatnie. - Zeskoczyła z fotela i przebiegłszy przez pokój, zarzuciła Danowi ręce na ramiona.

- Dzięki, Dan. Jesteś moim ulubionym szwagrem.

- Sądzę, że spodobał jej się ten pomysł - zauważył Dan, napotkawszy wzrok żony ponad głową Samanty.

- Prawdę mówiąc, powiedziałbym, że jest nim zachwycona.

- Myślałam, że tak skutecznie ukrywam moje prawdziwe emocje. - Samanta cmoknęła Dana w policzek.

- Bądź gotowa o dziewiątej. - Dotknął jej szczupłego ramienia. - Jake powinien być o tej porze.

- Jake? - powtórzyła. Uśmiech zastygł na jej twarzy.

- Tak. Pojedzie z tobą. Tak naprawdę - kontynuował Dan - to on wyszedł z tą propozycją dziś po po-

łudniu. Pomyślał, że dobrze ci zrobi, jeśli wyrwiesz się z domu na chwilę. - Westchnął i podrapał się w ciemną czuprynę. Wyglądało na to, że bardzo chciał okazać, jak jest zmieszany. - Głupio mi, że nie ja pierwszy o tym pomyślałem. Obawiam się, że byłem trochę przepracowany i nie zauważyłem, że wyglądasz na nieco zmęczoną i jakby trochę uwięziona.

- Nie jestem zmęczona - zaprzeczyła natychmiast.

- Ale uwięziona? - odpowiedziała Sabrina z uśmiechem.

- Może odrobinę. To z pewnością bardzo uprzejme ze strony pana Tannera, że tak troszczy się o moje samopoczucie. - Udało jej się wypowiedzieć to nazwisko bez rozdrażnienia. - Ale z całą pewnością nie ma potrzeby, aby jechał ze mną. Jestem pewna, że ma milion ważniejszych spraw do załatwienia w niedzielę.

- Nie sądzę, by on tak uważał - stwierdził Dan. - To był jego pomysł i myślę, że bardzo był nim przejęty.

- Nie rozumiem, czemu tak miałoby być - mruknęła. - A poza tym, nie chcę mu się narzucać. W zasadzie jesteśmy dla siebie zupełnie obcy. Mogę po prostu pojechać sama.

- Nonsens - zaprzeczył Dan łagodnie, lecz stanowczo. - Nie pozwoliłbym ci jechać samej, niezależnie od tego, jak dobrze radzisz sobie w siodle. Nie znasz okolicy, a tutaj łatwo się zgubić. Zawsze łatwo o wypadek. No i - dodał, uśmiechając się szeroko - jesteś częścią rodziny, a ja wychowałem się z Jakiem, więc nie jesteście dla siebie obcy. Jeśli ktokolwiek zna tę część Wyomingu jak własną kieszeń, to jest to właśnie Jake.

- Dan oparł się o poduszki. - Nawiasem mówiąc, jest właścicielem połowy tego obszaru.

Samanta spojrzała na siostrę błagalnym wzrokiem. Sabrina jednak zdawała się być całkowicie pochłonięta robótkami ręcznymi. Na tak oczywistą oznakę braku wsparcia ze strony siostry Samanta z westchnieniem odstąpiła od dalszego roztrząsania swoich dylematów. Jeśli odrzuci towarzystwo Jake'a, to nie tylko straci szansę na przejażdżkę po Wyomingu, ale także popsuje Sabrinie i Danowi plany na wspólnie spędzoną niedzielę. Wzruszyła z rezygnacją ramionami i uśmiechnęła się z rezygnacją.

- Będę gotowa o dziewiątej - powiedziała głośno, po czym dodała w myślach: Jeśli Jake Tanner jest w stanie wytrzymać cały dzień w moim towarzystwie, to pewnie i ja mogę wytrzymać z nim.

ROZDZIAŁ TRZECI

Niedzielny poranek był chłodny i przejrzysty. Słońce świeciło delikatnie, dając niewiele ciepła. Ku swemu zdumieniu i zażenowaniu, Samanta zdała sobie sprawę, że zasnęła. Wzięła szybki prysznic i ubrała się w ciemnozielone sztruksy i beżowy sweter.

Jej buty do jazdy konnej stukały głośno po posadzce, gdy zbiegała po schodach do kuchni. Kiedy dotarła do drzwi, zamarła, widząc Jake'a siedzącego przy stole, delektującego się kawą i zachowującego się tak, jakby był u siebie w domu.

Z irytacją zauważyła, że był tak atrakcyjny, jak go zapamiętała.

- Ach, tu jesteś - powitała go niezbyt serdecznie, ale przyjął to spokojnie, z typowym dla siebie powściąglym uśmiechem.

- Dzień dobry, proszę pani.

- Nie zaczynaj znowu z tym „proszę pani”.

Nic nie odpowiedział. Stukając naczyniami, wyjęła z szafki kubek i napełniła go gorącą kawą, stojącą na kuchence.

- Wybacz. - Wsunęła kromkę pieczywa do tosterka i odwróciła się do niego z uśmiechem. - Cholera, zasnęłam. Mam nadzieję, że nie czekasz zbyt długo.

- Mam wolny cały dzień - odpowiedział, odchyłając się na krześle.

Wyjęła z lodówki kawałek bekonu i pojemnik z jajkami.

- Jadłeś już śniadanie? - zapytała, zapraszając go do wspólnego posiłku.

- Tak, dziękuję. - Wstał, nalał sobie kolejny kubek kawy i zajął swoje miejsce za stołem. - Dan przygotował śniadanie dla siebie i Sabriny. Jedzą je teraz w swoim pokoju.

- Ach tak - powiedziała, odkładając wszystkie produkty na miejsce.

- Nie zamierzasz zjeść?

- Wystarczą tosty i kawa. Nie mam specjalnie ochoty na duże śniadanie.

- Jeśli zawsze jesz tak mało - powiedział, obserwując ją znad swojego kubka - nie ma się co dziwić, że nie urosłaś większa.

- Na miłość boską! - Obróciła się gwałtownie, wyciągając nożem. - Nie jestem jakimś karłem. Mam całe sto sześćdziesiąt centymetrów.

Uniósł ręce w udawanym geście poddania się.

- Nigdy nie kłócę się z uzbrojoną kobietą. - Wstał, gdy zobaczył, że skończyła tosty i kawę. - Gotowa?

Samanta przytaknęła pod nosem. Podał jej płaszcz z wieszaka i przytrzymał go w taki sposób, że nie miała innego wyjścia, jak tylko pozwolić, by pomógł jej go ubrać. Zesztywniała, gdy poczuła dotyk jego rąk na swych ramionach. Odwrócił ją, by na niego spojrzała. Spowodowało to gwałtowne przyspieszenie jej pulsu. Jakby wyczuwając jej reakcję, Jake zaczął powoli zapinać skór-

rzane guziki jej płaszcza. Szarpnęła się, ale trzymał ją tak mocno, że nie udało jej się w pełni uwolnić od niego.

- Jesteś ślicznym maleństwem - powiedział, przeciągając każde słowo i wpatrując się w nią zachłannie. - Żebyś tylko się nie przeziębiła. - Sięgnął po ciemny kapelusz Sabriny, zerwał go z wieszaka i wcisnął starannie na głowę Samanty. - W tym będzie ci ciepło.

- Dzięki.

- Do usług, Sam. - Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Włożył kożuszek z owczej skóry na flanelową koszulę, którą miał na sobie i która idealnie pasowała do jego dżinsów.

W drodze do stajni Samanta starała się nadażyć za szybkimi, długimi krokami Jake'a. Niezależnie od wszelkich uraz, podziwiała pewność i swobodę jego ruchów. Pomyślała, że Jake zdał sobie sprawę, że szybko nic nie osiągnie. Postanowił zatem poczekać, choć na pewno nie odstąpił od swoich planów.

Jabłkowity został osiodłany i wyprowadzony na zewnątrz przez uśmiechniętego kowboja.

- To koń dla pani. Dan polecił, żeby Spook był gotowy do pani dyspozycji.

- Dzięki. - Samanta odwzajemniła uśmiech. - Ale mogłam to zrobić sama. Nie chcę przysparzać ci dodatkowej pracy - dodała, klepiąc konia po szyi.

- To żaden kłopot, proszę pani. Dan powiedział, że dziś ma pani nie pracować zbyt wiele. Jedyne przejechać się i mieć z tego dużo frajdy. Po pani powrocie też zaopiekuję się starym Spookiem.

Samanta z łątwością wskoczyła na wierzchowca.

Czuła się szczęśliwa, że znowu może dosiąść konia. Od dawna jazda konna sprawiała jej dużo przyjemności, ale nie zawsze mogła sobie na to pozwolić.

- No to się teraz zaopiekuj panną Evans. - Kowboj mrugnął porozumiewawczo do Jake'a. - Dan bardzo troszczy się o tę małą panienkę.

Znowu „mała”, pomyślała Samanta.

- Nie martw się o pannę Evans, Bill. - Jake sprawnie wskoczył w siodło. - Zamierzam nie spuszczać z niej oka.

Ostatnie słowa Jake'a wywołały grymas na twarzy jego współtowarzyszki. Zaraz potem ruszyli kłusem we wskazanym przez niego kierunku.

Kiedy zostawili za sobą ostatnie zabudowania ranca, cała irytacja Samanty zdażyła minąć. Rześkie powietrze wypełniało jej płuca i wywoływało rumieńce na policzkach. Już niemal nie pamiętała, jak wspaniałe poczucie wolności daje jazda konna. Pomyślała, że podobne wrażenia towarzyszyły jej jedynie podczas wykonywania ćwiczeń na zawodach.

Przez mniej więcej kwadrans jechali w milczeniu. Jake chciał, żeby Samanta w pełni odczuła przyjemność samej jazdy i nacieszyła oczy widokiem okolicy. Kłusowali przez faliste równiny, a ponad nimi dzikie szczyty wznosiły się dumnie w niebo.

Nagle jakiś kształt przemknął przez otwarty teren. Samanta ściągnęła wodze konia.

- Co to było? - spytała.

- Tylko sarna - wyjaśnił spokojnie, mrużąc oczy od słońca.

Kiwnęła głową ze zrozumieniem i zatrzymała się.

Z zachwytem obserwowała zwierzę mknące przez rozległą równinę.

- To musi być cudowne uczucie, tak pędzić przez otwarte przestrzenie. Być całkowicie wolnym. - Odwróciła się w stronę Jake'a i zauważyła, że przygląda się jej uważnie.

Nie potrafiła rozszyfrować, co kryje się za jego wejściem. Dreszcz przeszył jej ciało i poczuła mrowienie w dole brzucha. Nagle wyraz jego twarzy zmienił się. Pojawił się na niej uśmiech.

- Kiedyś ktoś cię złapie, mała sarenko.

Zamrugała zdezorientowana, próbując przypomnieć sobie, o czym rozmawiali. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, po czym wskazał na wysokie drzewo stojące w odległości około czterystu metrów.

- Ścigamy się!

Oczy jej rozbłysły na myśl o wyzwaniu.

- Mam marne szanse w walce z takim koniem. Doznam jakieś fory?

Jake zsunął kapelusz na tył głowy, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

- Patrząc na ciebie, sądzę, że masz dobre dwadzieścia pięć kilogramów przewagi. Myślę, że to wyrównuje szanse.

- Żadnych forów na starcie?

- Nie, proszę pani.

Nadała się, słysząc ten zwrot, ale po chwili uśmiechnęła się zawadiacko.

- W porządku, Jake'u Tannerze. Wiedz tylko, że tanio skóry nie sprzedam.

- Kiedy tylko będziesz gotowa, Sam. - Wcisnął kapelusze głębiej na czoło.

- Teraz!

Spięła konia i ruszyła galopem. W ciszy poranka tętent kopyt brzmiał z podwójną siłą. Samanta z rozwianymi włosami i z wypiekami na twarzy całym ciałem chłonęła każdy ruch zwierzęcia. Na mecie nieznacznie wyprzedziła Jake'a. Zdyszana, przyjęła to ze śmiechem.

- Och, to było wspaniałe. Absolutnie cudowne. - Śmiała się i jednocześnie krztusiła od kurzu.

- Jeśli kiedykolwiek zrezygnujesz z nauczania, będziesz mogła pracować dla mnie, Sam. Chętnie skorzystam z pomocy kogoś, kto tak świetnie jeździ.

- Będę o tym pamiętała, chociaż wiem, że dałeś mi wygrać.

- Dlaczego tak myślisz? - Oparł rękę o łęk siodła i spojrzał na nią z ciekawością.

- Nie jestem głupia - zaśmiała się szczerze i przyjaźnie. - Nigdy nie pokonałabym czystej krwi araba. Ciebie, być może - dodała zarozumiale - ale nie tego konia.

- Ostra z ciebie dziewczyna.

- Jak brzytwa - przyznała. - A poza tym - dodała, odgarniając włosy z ramion - nie jestem słabą kobietką, którą można sobie zjednać takim zachowaniem. Z moim sportowym doświadczeniem doskonale wiem, jak rywalizować. Potrafię przegrywać i - pokazała zęby w szerokim uśmiechu - potrafię wygrywać.

- Punkt dla ciebie. Od dzisiaj gramy jak równy z równym.

Mówiąc to, uśmiechnął się, ale Samanta nie była pewna, czy mówią o tym samym.

- Ja również wiem, jak wygrywać - dodał, ważąc słowa.

Wolnym tempem ruszyli w dalszą drogę. Przekraczając rzekę, zatrzymali się na chwilę, żeby konie mogły zaspokoić pragnienie. Woda była zimna i wartko wdzierała się między błyszczące głązy. Samanta poprosiła Jake'a, żeby opowiedział jej o górach, które wznosiły się ponad nimi.

Wskazywał na poszczególne szczyty i łańcuchy górskie, po kolei wymieniając ich nazwy. Patrzyła zachwycona, ale w pewnej chwili odwróciła głowę, oślepiona światłem odbitym od ośnieżonych wierzchołków.

- Nie mogę zbyt długo na nie patrzeć. Ty pewnie już się przyzwyczyłaś.

- Nie. - Tym razem nie śmiał się ani nie kpił. - Nie można się przyzwyczyać.

Uśmiechnęła się z aprobatą dla jego szczerości.

- Czy są tam niedźwiedzie? - spytała.

Rzucił okiem na góry, a potem spojrzął na nią.

- Brunatne i grizzly. Poza tym łosie, kojoty, pумы...

- Pумы? - powtórzyła zaniepokojona.

- Nie chciałabyś tam pojechać, prawda? - zapytał z pobłażliwością.

Zignorowała kpinę i rozejrzała się wokoło.

- Ciekawe, czy tak samo było tu sto lat temu?

- Góry nie zmieniają się tak szybko. Tylko Indianie odeszli - kontynuował w zamyśleniu. - To były tereny Indian Arapaho, Crow, Siuksów, Czejenów i Szoszo-

nów. Wszyscy byli wolni i niezagrożeni, dopóki biały nie postawił tu swojej stopy. - Odwrócił się do niej, jakby nagle przypomniał sobie, że stoi obok niego. - Ty jesteś nauczycielką. To ty powinnaś opowiadać.

Samanta zaprzeczyła ruchem głowy.

- Moja znajomość Wyomingu ogranicza się do wiedzy, którą mam z nocnych westernów.

Prowadzili konie powoli, idąc obok siebie. Samanta zupełnie zapomniała, jaką niechęcią darzyła tego faceta.

- Trudno uwierzyć w okrucieństwa, jakich się tu dopuszczono. Jest tu tak spokojnie, a tereny tak ogromne, że wydaje się, iż starczyłoby miejsca dla wszystkich.

Tym razem zaprzeczył Jake.

- W 1841 roku ponad sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi przemierzyło Przełęcz Południową w drodze na zachód, a kilka lat później pięćdziesiąt tysięcy więcej przeszło do Kalifornii w poszukiwaniu złota. Od pokoleń była to ziemia Indian. Ale kiedy ludziom zaczyna doskwierać głód, stają do walki. Wprawdzie podpisano porozumienia, jednak złożone przez obie strony obietnice zostały przez nie złamane.

Wzruszył ramionami.

- W 1860 roku próbowali otworzyć przełęcz Bozeman od Fortu Laramie do Montany, ale wojna zniszczyła te plany. Linia kolejowa przebiegała przez tereny łowieckie Siuksów. Toczone zażarte walki, pełne krwi i wzajemnej, niemal zwierzęcej, masakry. Nie oszczędzono kobiet i dzieci. Podpisywano kolejne traktaty, pojawiały się następne konflikty, dalsze zabójstwa. Aż do

chwili gdy biali zdziesiątkowali Indian lub ich przepędzili do rezerwatów.

- To niesprawiedliwe - wyszeptała Samanta, czując, jak zalewa ją fala smutku.

- Oczywiście. - Odwrócił się w jej stronę. - Życie nie zawsze jest sprawiedliwie, prawda?

- Chyba nie - westchnęła. - Doskonale znasz historię tego kraju. Skąd tyle wiesz o tym, co się tu działo? Musiałeś być świetnym nauczycielem historii.

- Byłem. Moja wspaniała babcia, która dożyła dziewięćdziesięciu ośmiu lat, dużo mi opowiadała. Pochodziła z plemienia Siuksów.

Samanta, zaskoczona, uniosła brwi.

- Bardzo chciałabym ją poznać. To musi być fascynujące, móc obserwować zmiany przez niemal sto lat.

- Była wspaniałą kobietą. - Jego uśmiech przygasł na chwilę. - Wiele mnie nauczyła. Między innymi tego, że życie toczy się dalej, bez względu na to, co czynimy. I że jeśli czegoś bardzo pragniemy, to musimy tak długo do tego dążyć, aż uda nam się to osiągnąć.

Zmieszana uciekła przed jego wzrokiem i rozejrzała się po okolicy.

- Bardzo chciałabym móc cofnąć się w czasie i zobaczyć te tereny, kiedy jeszcze nie było tu płotów, a ziemia nie była splamiona krwią.

Jake wskazał na niebo. Spojrzała w górę i zobaczyła krążącego orła. Szukający zdobyczy wielki ptak szybował majestatycznie nad szczytami gór. Jake i Samanta ruszyli dalej w milczeniu.

- Mam nadzieję, że wyniesiesz z tej wycieczki tro-

chę miłych wrażeń, że trochę zrekompensuje ci ona czas spędzony na opiece nad siostrą - powiedział po chwili Jake.

- Nie potrzebuję żadnej rekompensaty za opiekę nad Sabriną. Ona jest moja...

- Małą siostrzyczką, za którą czujesz się odpowiedzialna?

- Tak... Zawsze się nią opiekowałam. Ona jest delikatna i znacznie mniej odporna niż ja. - Wzruszyła ramionami, jakby poczuła się niezręcznie, że tak właśnie jest. - Tata zawsze żartował, że jeszcze w łonie matki zabrałam Sabrinie połowę jej siły i od tego czasu ona mnie potrzebuje - dodała, czując, że musi bronić tego, co zawsze uważała za oczywiste.

- Sabrina ma Dana - przypomniał jej. - I jest dojrzalą kobietą, tak jak ty. Czy kiedyś przyszło ci na myśl, że masz swoje własne życie, którym należałoby się zająć, i że Sabrina ma męża, który z powodzeniem może się o nią troszczyć?

- Nie chcę przejąć roli Dana - zareagowała gwałtownie. - Być może ty umiesz sobie wyobrazić, że Dan będzie jednocześnie troszczył się o Sabrinę, dom i rancho, ale ja sobie tego nie wyobrażam. - Rozdrażniona spojrzała na niego ze złością. - Co właściwie sugerujesz? Czy, twoim zdaniem, powinnam siedzieć w Filadelfii i uczyć dzieciaki ćwiczeń, podczas gdy moja siostra potrzebuje pomocy?

- Nie, Samanto - odpowiedział cicho i łagodnie, co wydało jej się gorsze od złości i podniesionego tonu. - To, co robisz, jest bardzo dobre i bezinteresowne.

- Nie ma w tym nic dobrego ani bezinteresownego
- wyrzuciła z siebie. - Jesteśmy rodzeństwem. Więcej, jesteśmy bliźniaczkami. Dzielimy życie od samego początku. Nigdy nie zrozumiesz, jaka więź nas łączy. Porzuciłam niejedną pracę, żeby tylko pomagać siostrze, jeśli tego potrzebowała.

- Nikt nie potępia twojej lojalności wobec Sabriny. Jest to cecha bez wątpienia godna naśladowania. - Spojrzał na nią przeciągle. - Ale dam ci jedną radę. Nie pozwól, byś zapomniała, kim jest Samanta Evans, i że ma ona prawo do swojego własnego życia.

Samanta wyprostowała się w siodle.

- Cholernie potrzebuję twoich rad. Od jakiegoś już czasu nie najgorzej sobie radzę z własnym życiem.

- Jasne, proszę pani. - Uśmiechnął się dyskretnie.
- Jestem przekonany, że tak właśnie jest.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jechali dalej przez równinę. Samanta uparcie milczała, ale jej przewodnik wydawał się niezrażony tą ciszą. Jednak ona nigdy by się nie przyznała, że jego słowa tak bardzo zmałyły spokój jej umysłu.

Co go obchodzi, jak idę przez swoje własne życie, pytała w duchu z oburzeniem sama siebie. Kto dał mu prawo do oceny mojego postępowania i stosunku do Sabriny? Nikt go nie prosił o żadne rady. I dlaczego, do diabła, to, co on myśli czy mówi, miałyby mnie w ogóle obchodzić?

Zbliżyli się do wielkiego domu na ranczo. Weranda z czerwonej sekwoi ciągnęła się przez cały front budynku. Smużka ulatującego z komina dymu przywodziła na myśl atmosferę domu rodzinnego. W tle dostrzegła budynki gospodarcze.

- Witamy na ranczo Double T, proszę pani.

Spojrzała na niego zaskoczona tym oficjalnym tonem. Uśmiechnął się do niej i przyłożył rękę do runda kapelusza.

- Dziękuję, panie Tanner. Z całą szczerością mogę powiedzieć, że pana ranczo robi na mnie duże wrażenie. Ale, proszę pozwolić, że zapytam, co my tu właściwie robimy?

- W zasadzie... - Poprawił się w siodle i spojrzał na

nią. - Nie wiem jak ty, ale ja po trzech godzinach w siodle porządnie zgłodniałem.

- Trzy godziny? - Zaskoczona, zsunęła kapelusz na czoło. - Czy naprawdę upłynęło już tyle czasu?

- Rozumiem przez to, że moje towarzystwo było na tyle miłe, że czas się dla ciebie zatrzymał.

- No cóż, nie chciałabym sprawić ci przykrości, ale cała załuga leży po stronie pięknej okolicy.

- Niech i tak będzie. - Poprawił kapelusz na jej głowie i ruszył kłusem.

Patrzyła za nim ni to z rozdrażnieniem, ni z zazdrością, gdy z niezwykłą pewnością siebie prowadził konia. Sprawiali wrażenie, jakby stanowili jedność. Westchnęła wzburzona, po czym ruszyła, by go dogonić.

Jake skreślił w kierunku budynków stojących na tyłach rancza. Na spotkanie wybiegł im wielki, poszczekujący gardłowo bernardyn. Zatrzymali się przed stajniami. Jake zsunął się z końskiego grzbietu i przywitał z psem.

- Wolfgang nie jest groźny - oświadczył Samancie, kiedy pies przestał lizać go po twarzy. - To jeszcze szczeniak.

- Szczeniak - powtórzyła. - Nie ma siedemdziesięciokilogramowych szczeniaków - dodała, zeskakując z konia po chwili wahania.

Jake złapał ją, zanim wylądowała na ziemi, i przez moment przytrzymał, jak gdyby nic nie ważyła, a potem obrócił ją i przycisnął do swojego mocnego ciała. Przechyliła głowę, co miało oznaczać, że jego pomoc jest zbędna. Jednak zanim zdążyła coś powiedzieć, przyłgnał wargami do jej ust.

Samancie zawirowało w głowie od jego dotyku i zapachu. Kolana ugięły się pod nią i poczuła, jak krew szybciej płynie przez jej ciało. Chwyliła się jego kurtki, żeby nie upaść. Pocałunek trwał zapewne kilka sekund, ale miała wrażenie, że upłynęła wieczność, nim oderwał od niej swoje gorące wargi.

Nieprzyjemne uczucie utraty kontroli nad sytuacją przeraziło ją. Zesztywniała i próbowała uwolnić się z jego uścisku. Puścił ją od razu, przyglądając się jej z satysfakcją. Drgający na jego wargach uśmiešek sprawił, że strach Samanty przerodził się we wściekłość.

- Jak śmiesz?

- Tylko sprawdzałem, proszę pani. - Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie.

- Sprawdzałeś? - powtórzyła, poprawiając włosy. - Co sprawdzałeś?

- Zawsze marzyłem o tym, by pocałować nauczycielkę - uśmiechnął się szeroko. - Myślę, że w tej materii masz pewne braki w wykształceniu.

- Ja ci dam braki, ty zarozumiały, pyszałkowaty... - jej umysł gorączkowo szukał wystarczająco uwłaczającego określenia - człowieku. Gdyby nie to, że traktuje ten pocałunek tak, jak gdyby go nie było, to leżałbyś teraz na plecach z rozbitym nosem.

Przyglądał się jej uważnie, gdy tak trzęsła się cała ze złości i urażonej dumy.

- Wiesz, Sam, jestem niemal pewien, że mogłabyś to naprawdę zrobić. - Potarł brodę w zamyśleniu.

- A pewnie że tak - przytaknęła ze złością. - A następnym razem... - Poczuła gwałtowne szarpnięcie,

spojrzała w dół i zobaczyła bernardyna trzymającego rękaw jej kurtki w budzących respekt szczękach. - No co ty, nauczyłeś go pożerać odporne niewiasty?

- Chce się tylko z tobą przywitać - zaśmiał się Jake, po czym odprowadził konie do stajni.

Samanta nigdy nie była bojaźliwa, a teraz dodatkowo duma nie pozwoliłaby jej krzyknąć za Jakiem, żeby odwołał psa. Przełknęła ślinę i rozpoczęła negocjacje z psim napastnikiem.

- Cześć... Wolfgang, dobrze pamiętam? Mów do mnie Sam. Czy nie zechciałbyś puścić tego rękawa?

- Ponieważ pies pozostawał niewzruszony jej przemową, spróbowała zmienić taktykę. - W porządku. Wiesz, to w zasadzie dość stara kurtka. A ja bardzo lubię psy.

- Na potwierdzenie swych słów pogłaskała jego wielki łeb. - No, w zasadzie to mam kota - przyznała przepraszająco - ale nie żywię uprzedzeń rasowych.

Pies trwał w niezmienionej pozycji, więc uznała, że zrobi rozsądnie, jeśli da mu czas na przemyślenie jej słów. Jej roztropność i cierpliwość zostały nagrodzone, kiedy wreszcie zwolnił uścisk i ogromnym jęzorem polizał jej rękę.

- Widzę, że zostaliście przyjaciółmi. - Jake niespodziewanie pojawił się przy niej.

- Nie ma w tym twojej zasługi - odparła. - Ten pies mógł mnie tu pożreć żywcem.

- Byłabyś zbyt ciężkim kąskiem dla tej poczciwiny.

- Ujął jej rękę i poprowadził w stronę domu.

Weszli tylnymi drzwiami i przez sień wyłożoną terakotą weszli do kuchni. Było to przestronne i jasne po-

mieszczanie z pomarańczowymi firanami zdobiącymi duże okna. Sympatycznie wyglądająca kobieta, która stała przy zlewie, uśmiechnęła się do Samanty.

- Jake, łajdaku. Czemu trzymałeś tę biedną kobietę tak długo na tym chłodzie?

Jake uśmiechnął się niezmiernie.

- Samanto Evans, poznaj proszę Annie Holloway, moją kucharkę, opiekunkę domu i w ogóle najwspanialszą kobietę.

- Nie mydl mi tu oczu, szatanie. - Udała, że nic nie robi sobie z jego słów, ale rumieniec zadowolenia wstąpił na jej policzki. - Miło cię poznać. - Wyciągnęła rękę do Samanty.

- Mnie również, panno Holloway. Mam nadzieję, że nie sprawiam kłopotu.

- Kłopotu? - Annie zaśmiała się rubasznie, aż zatrząsał się jej obfity biust. - Czyż ona nie jest słodka? Nie żartuj, proszę. I mów do mnie Annie, jak wszyscy.

- W porządku, Annie. - Samanta uśmiechnęła się ciepło. - Do mnie wszyscy mówią Sam.

- To ładnie - skomentowała Annie, badawczo przyglądając się Samancie. - To ładnie. A teraz oboje wynocha z mojej kuchni. Zaraz będzie lunch, a na razie na rozgrzewkę przyniosę wam gorącą herbatę. To znaczy tobie, Sam, bo Jake już nie potrzebuje nic na rozgrzanie.

- Annie tu rządzi - wyjaśnił Jake, prowadząc Samantę do pokoju gościnnego.

- To widać. Chociaż okręciłeś ją sobie wokół małego palca.

Przez chwilę jego uśmiech był taki chłopięcy i figlar-

ny, że z trudem powstrzymała się od odgarnięcia włosów z jego czoła.

W pokoju dominowało jasne drewno. Był tu duży, kamienny kominek. W wielkich oknach wisały rdzawoczerwone firanki. Tapicerka na ciemnych połyskujących meblach mieniła się złotem, paloną sjeną i głębokim brązem. Różnorakie fotele, stoliki i krzesła, fantazyjne świeczniki i ozdoby tworzyły razem sympatyczne wnętrze. Na środku drewnianej podłogi leżał indiański kilim. Samanta pomyślała, że musi być bardzo stary i ciekawa była, czy tkąta go babcia Jake'a. Zamożność gospodarzy nie była tu eksponowana, jednak wystrój pokoju stanowiło wiele drogocennych przedmiotów. Samanta nijak nie mogła skojarzyć tego bogactwa z kowbojem, jakim w istocie był Jake, niezależnie od tego, ile jego pozytywnych cech można by wymienić.

Wzrok jej przykuł obraz Charlesa Russella. Podeszła, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Była ciekawa, czym jeszcze dzisiejszego popołudnia zaskoczy ją Jake. Gdy odwróciła się w jego stronę, spostrzegła, że z nieskrywanym rozbawieniem obserwuje jej reakcję na obraz.

- Mam wrażenie, że spodziewałaś się raczej niedźwiedzich skór i ceraty na stołach.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie wiem, czego się można po tobie spodziewać - powiedziała cicho, wpatrując się w płomienie.

- Nie? - Rozsiadł się w fotelu i przygotował sobie długie, cienkie cygaro. - A myślałem, że ty zawsze wiesz wszystko najlepiej.

Samanta również usiadła.

- To jest cudowne miejsce. Bardzo ciepłe i pełne uroku - zmieniła temat.

- Cieszę się, że ci się podoba. - Nie mógł nie zauważyć zmiany tematu, ale nie dał jej tego odczuć. Wyciągnął nogi przed siebie, palił cygaro i sprawiał wrażenie zrelaksowanego i zadowolonego z życia.

- Mam słabość do antyków - kontynuowała, uznając, że temat jest bezpieczny.

Uśmiechnął się. Dym tworzył przedziwne kształty nad jego głową.

- Jest pewna rzecz w jednej z sypialni, którą zapewne zechciałybyś zobaczyć. Jest to komoda zrobiona z orzechowca, a przywieziona ze Wschodu w 1860 roku.

- Chętnie obejrzę - oddała mu uśmiech, po czym usiadła wygodniej. Weszła Annie, prowadząc przed sobą mały stoliczek z herbatą.

- Tobie przyniosłam kawę. - Annie zwróciła się do Jake'a, podając mu filiżankę. - Wiem, że nie tkniesz herbaty, dopóki nie jest doprawiona bourbonem.

- Herbata to napój dobry dla starych panien - oświadczył, nie zwracając uwagi na jej gderliwy ton.

- Jak myślisz, jak się miewa Sabrina? - zapytała Samanta, kiedy Annie wróciła do kuchni.

- Sądzę, że za bardzo się o nią troszczysz.

- Pewnie masz rację - odparła, dziwiąc się samej sobie, że jest taka zgodna. - Nasza mama zawsze mówiła, że Sabrina i ja jesteśmy jak lustrzane odbicia, co oznacza - jak się później przekonałam - że jesteśmy tak różne.

- Jak choćby to, że Sabrina jest praworęczna, a ty leworęczna.

- Nic nie umknie twojej uwagi. - Spojrzała na niego zaskoczona. Jego uśmiechnięta twarz przybrała wyraz, którego nie lubiła. Zachowywał się jak kot, który już trzyma mysz w łapach. - Myślę, że różnice między mną a Sabriną było widać jak na dłoni, kiedy mama wystroiła nas w suknie balowe z białej organdy. Sabrina wróciła w czyściutkiej, nieskalanej sukience. Wyglądała jak aniołek. Ja natomiast wróciłam umorusana jak diabeł i z poobijanymi kolanami.

Kiedy opowiadała tę historię, Jake'a uśmiechał się coraz szerzej. Kawa stygła mu w kubku, ale nie pił jej, wpatrzony w Samantę i wsłuchany w jej opowieść.

- Są obserwatorzy i są ludzie czynu, Samanto. Jestem pewien, że to, co powodowało, że miałas poobijane kolana, dla ciebie też było świetną zabawą.

Odebrała to jako komplement, choć poczuła się jednocześnie zakłopotana.

- Mam wrażenie, że ty także jesteś człowiekiem czynu. - Spuściła wzrok. - Gdyby było inaczej, nie byłbyś w stanie prowadzić takiego rancza. Hodowla bydła wymaga zapewne wielogodzinnej pracy, i to niezależnie od pogody - w upalne lato i w mroźną zimę. Nie sądzę, by praca ta bardzo różniła się od tej, jaką wykonywano setki lat temu.

- Szlak nie jest już czynny - poprawił ją. - Teraz nie spotkasz już kowbojów jeżdżących do Teksasu na koniu wartym dziesięć dolarów i w siodle wartym czterdzieści, aby ubijać bydło. - Odstawił pusty kubek na stół. - Ale niektóre rzeczy zmieniają się powoli. Ja także nie jestem zwolennikiem szybkich zmian.

Uśmiechnął się. Samanta nie zdążyła odwzajemnić uśmiechu, bo Annie zawołała ich na lunch. Kiedy usiedli do stołu, Samanta poprosiła, by opowiedział jej więcej o prowadzeniu rancza.

Jake opowiedział jej więc trochę o nowych metodach spędu bydła, który kiedyś odbywał się na ogromnych przestrzeniach tylko z pomocą ludzi i koni, oraz o zastosowaniu nowoczesnych ogrodzeń. Dowiedziała się zarazem, że w kilku stanach istnieją grupy hodowców kultywujących tradycyjne praktyki. Zresztą w hodowli bydła jeźdźcy są nadal niezastąpieni przy wykonywaniu niektórych zajęć. Na Double T Jake zatrudniał najlepszych pracowników. Byli to - jak powiedział Samancie - zarówno tacy, którzy znają nowoczesną technikę, jak i ci, którzy umieją pracować po staremu. - Nawet jeśli spęd nie jest już taki sam jak dawniej - wyjaśnił - zawsze jeźdźcy zaganiają bydło do zagród. Nadal też kończy się to w ten sam sposób. Trzeba zagonić bydło w jedno miejsce i przystąpić do jego znakowania.

- Znakowanie? - przerwała Samanta i wzdrygnęła się na samą myśl o wypalaniu znaków na ciele zwierząt.

- Widać, że mieszkasz w wielkim mieście, Samanto - uśmiechnął się. - Masz moje słowo, że znakowanie jest mniej przyjemne dla znakującego niż dla znakowanych zwierząt.

Nie podjęła tematu. Interesowało ją coś jeszcze.

- Sabrina mówiła mi, że twoje ranczo graniczy z ziemią Dana. To musi być ogromny teren, skoro trzy godziny zabrało nam dotarcie tutaj.

Niski, głęboki śmiech Jake'a wypełnił pokój. Samanta przyznała w duchu, że bardzo jej się to podoba.

- To naprawdę ogromna przestrzeń, Samanto, ale jeśli pojedziesz prosto na północ od Lazy L, możesz dotrzeć tu konno w dwadzieścia minut. Dzisiaj pokazałem ci dłuższą trasę - wyjaśnił. - Taki mały wycinek naszej części w dorzeczu rzeki Laramie.

Delektowali się smakiem kawy i swoim towarzystwem.

- Musimy zacząć zbierać się w drogę powrotną - powiedział po chwili. Wstał i podał jej rękę. Bez wahania podała mu swoją, a Jake pomógł jej wstać. Spojrzała na niego z ciepłym, spontanicznym uśmiechem.

- Nie czaruj mnie, Sam. - Uniósł rękę i musnął palcami jej wargi.

Jedną ręką trzymał jej dłoń, a drugą uspokajającym ruchem gładził jej szyję. Wystarczyło, że pochyliłaby się lekko ku niemu, a już czułaby jego ciało przy swoim. Wystarczyło, że uniosłaby rękę, a już czułaby pocałunki jego mocnych, ciepłych ust. Zanim pomyślała, co powinna zrobić, odsunął ją od siebie.

- Sam. - Potrząsnął głową ni to z rozpaczą, ni to z rozbawieniem. - Z łatwością możesz wystawiać męską cierpliwość na próbę. - Pociągnął ją w stronę kuchni.

- A więc znowu wychodzisz. - Annie wytarła jedną rękę w fartuch, a drugą machnęła na Jake'a. - I nie trzymaj jej za długo na tym chłodzie.

- Oczywiście, że nie, proszę pani - odpowiedział z podejrzaną atencją.

- Dziękuję, Annie - przerwała Samanta. - Lunch był świetny.

- No, teraz jest w porządku. - Poklepała Samantę po przyjacielsku. - Wracaj tu szybko. I pozdrów ode mnie Sabrinę. I tego młodego hultaja Dana też. Jak tylko Sabrina poczuje się lepiej, wpadnę ją zobaczyć. Och, Jake, zapomniałabym. - Odwróciła się do niego i mruknęła coś na temat swojej słabej pamięci. - Lesley Marshall dzwoniła i zapraszała na kolację dziś wieczorem. Powiedziałam jej, że do niej oddzwonisz, a potem wyleciało mi z głowy.

- Nie ma problemu - odpowiedział spokojnie. - Później do niej oddzwonię. Gotowa, Sam?

- Tak. Jestem gotowa. - Uśmiech powrócił na jej usta, choć wewnątrz poczuła lekki niepokój.

Lesley Marshall, pomyślała, to chyba ta kobieta, o której Sabrina mówiła, że byłaby w stanie usidlić Jake'a. Oczywiście pod warunkiem, że ten postanowi kiedyś się ożenić. Dlaczego miałoby mnie to obchodzić? Wyprostowała się i dołączyła do stojącego przy koniach Jake'a. Romanse Jake'a Tannera absolutnie mnie nie obchodzą. Miał zapewne tuzin przyjaciółek, ale to nie moja sprawa.

W drodze powrotnej prawie nie rozmawiali. Samanta udawała, że jest pochłonięta obserwowaniem otoczenia, choć w rzeczywistości niewiele ją to obchodziło. Z przykrością zorientowała się, że otaczającej Wyoming magii było zbyt mało, by poprawić jej humor. Pokryte śniegiem szczyty błyszcząły w promieniach popołudniowego słońca, a teren nadal był niezwykle rozległy i kuszący. Jednak przyglądając mu się teraz, Samanta czuła się dziwnie przygnębiona.

To był niezwykle dzień, rozmyślała. Jake drażnił ją, czarował, złościł i zachwycał. Doświadczyła wszystkich tych uczuć w ciągu zaledwie kilku godzin. Jego pocałunek rozbudził w niej podniecenie i jeszcze inne, głębsze uczucia, których nie potrafiła nazwać.

Sama myśl o tym, że mógłby jeść kolację z inną kobietą, niezmiernie ją zasmuciła. Przyjrzała mu się dokładnie, ale szybko odwróciła wzrok, aby nie zauważył, że tak badawczo mu się przypatruje. Musiała przyznać, że był niezwykle atrakcyjnym mężczyzną. I to mężczyzną w każdym calu. Intrygował ją, ale też onieśmielał, a Samanta lubiła jasne sytuacje w kontaktach z mężczyznami. Być może najrozsądniej byłoby unikać jego towarzystwa. Samanta lubiła kontrolować sytuację, ale zdała sobie sprawę, że Jake lubi to jeszcze bardziej.

Pomyślała, że postara się trzymać od niego na dystans. Niech sobie czaruje tę Lesley Marshall lub jakąkolwiek inną kobietę, która będzie pragnęła jego uwagi. Samanta Evans może sobie z łatwością poradzić bez niego. Gdy zbliżali się do Lazy L, Samanta postanowiła zachowywać się uprzejmie i jedynie przyjacielsko w stosunku do swego kompana. W końcu nie było powodu, aby miała zachowywać się niegrzecznie. Jake miał prawo jeść kolację, z kimkolwiek miał ochotę. To było w końcu jego życie i jego decyzja. Poza tym, odpowiedziała sobie, w przyszłości prawie w ogóle nie będziemy się widywali.

Po dotarciu na ranczo zsiadła z konia i podała wodze Spooka oczekującemu na nich kowbojowi.

- Spędziłam wspaniały dzień, Jake. - Jej uśmiech

był nienagannie grzeczny. Szli w kierunku domu, a Jake prowadził za sobą swojego ogiera. - Dziękuję ci za czas i gościnność.

- Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani - powiedział, uśmiechając się.

Nawet jeśli powiedział to z kpina, Samanta potraktowała to życzliwie. Przy drzwiach odwróciła się jeszcze, aby uśmiechem podziękować za miły dzień.

- Napijesz się kawy przed powrotem do domu? - zaprosiła, pamiętając o tym, że obiecała być uprzejma wobec Jake'a.

- Nie, dzięki, Sam. - Obserwował ją spod runda kapelusza. - Lepiej już będę się zbierał.

- No cóż. - Odetchnęła z ulgą, gdy poczuła chłód kłamki pod swoją dłońią. - Jeszcze raz dziękuję.

- Nie ma sprawy. - Skinął w jej stronę, odwrócił się w kierunku swego konia, po czym ponownie spojrzał na nią w taki sposób, że Samanta poczuła, jak nogi się pod nią uginają. - Kiedyś będę cię miał - powiedział miękko, lecz dobitnie.

Nastąpiła długa cisza. Żadne z nich nie było w stanie nic powiedzieć.

- Do... doprawdy? - Głos Samanty brzmiał jak szept, choć starała się, żeby wydawał się chłodny i obojętny.

- Tak, proszę pani. - Dosiadł konia i przesunął stessoną na tył głowy tak, że mogła spojrzeć mu prosto w oczy. - Taki właśnie mam plan.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przez kilka następnych dni Samanta wmawiała sobie, że jej reakcja na pocałunek Jake'a była jedynie krótkotrwałym fizycznym zauroczeniem. W końcu była normalną kobietą. Dlaczego miałyby się czuć winna z tego powodu?

Jake Tanner w istocie był przecież bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Zbyt atrakcyjnym, powiedziała sobie.

I wiedział zbyt wiele o tym, jak oczarować kobietę. Był też irytujący i pewny siebie. Wszystko razem wpłynęło na to, że stanowisko Samanty było jednoznaczne.

To było jedynie krótkotrwałe zauroczenie. I z całą pewnością więcej się nie powtórzy, uznała.

W końcu Sabrinie pozwolono wstać z łóżka. Samanta doszła do wniosku, że może zostawić siostrę na kilka godzin. Z radością w sercu siedziała Spooka i żwawym kłusem wyjechała z rancza. Przez chwilę wsłuchiwała się w stukot kopyt Spooka po zmrożonej ziemi. Ciężkie, czarne chmury wisiały nisko, otaczając odległe góry ponurą mgłą. Poczowała wewnętrzny spokój i miała wrażenie, że czas niemal się zatrzymał. Było to uczucie,

którego brakowało jej w codziennej krzątaninie w domu siostry.

Pędziła szybko, mijając znudzone krowy o białych pyskach, napierające na ogrodzenie z drutu kolczastego, ciekawe tego, czego nie mogą osiągnąć, spragnione wolności i swobody. Góry, jak ponury strażnik, czuwały nad nią pod ciężkim stalowoszarym niebem. Nie lekceważyła uwag Dana, żeby zapamiętać szlak, którym podążała, notowała w pamięci kępki krzewów na skałach, topole ze złamanymi gałęziami i sękate pniaki. Miały to być punkty orientacyjne, pomagające jej odnaleźć drogę powrotną.

Poprowadziła swego wierzchowca na szczyt wzgórza. Po niespełna godzinie z ciężkich chmur zaczęły leniwie opadać pierwsze płatki śniegu. Zatrzymała się, zafascynowana widokiem zaśnieżonej okolicy. Uniosła twarz i pozwoliła, aby padający powoli śnieg pieścił jej policzki i zamknięte powieki. Powietrze było wilgotne. Samanta pogrążyła się w marzeniach.

- Wiesz, Spook. To pierwszy śnieg w Wyomingu, jaki widzę. Chciałabym zostać tu cały dzień i patrzeć, jak sypie się z nieba, ale wzywają mnie obowiązki. Lepiej wracajmy.

Poklepała konia po szyi i zawróciła w stronę rancza. Jechała powoli, oczarowana baśniową krainą, jaka ją otaczała. Topole i osiki okrywała biała śnieżna czapa, a gałęzie drzew kontrastowały z tą bielą. Na ziemi szybko kładła się coraz grubsza warstwa puszystego śniegu. Mimo zachwycającego piękna, które ją otaczało, Samanta zaczęła odczuwać pewien lęk.

Ruszyła szybszym kłusem. Dźwięk kopyt Spooka był coraz słabszy i bardziej stłumiony. Wokół panowała niezwykła cisza, która niemal kłuła w uszy. Samanta wzdrygnęła się i mimo ciepłego okrycia poczuła chłód. Zaniepokoiła się, spostrzegłszy, że pochłonięta widokami zmyliła drogę. Czym prędzej zawróciła, ganiąc się za tę nieuwagę.

Śnieżyca nasilała się. Nieba nie było już widać nad jej głową. Wyrzucała sobie, że pojechała aż tak daleko i starała się zwalczyć w sobie narastające uczucie paniki.

- Nie bądź głupia, Sam - mówiła głośno, chcąc usłyszeć przynajmniej swój głos. - Mały śnieg nie zrobi ci krzywdy.

Chłód stawał się coraz dotkliwszy i bardziej przesywający. Samanta próbowała myśleć o gorącej kawie lub buzującym ogniu, aby poczuć się nieco cieplej. Nic już nie było takie jak wcześniej. Zaciśnęła usta, aby powstrzymać szczykanie zębów. Wmawiała sobie, że przecież nie mogła się zgubić. Ale to nie była prawda. Okryte białym płaszczem drzewa i wzgórze wokół wyglądały zupełnie inaczej.

Śnieg był tak gęsty, że ściana bieli oślepiła ją. Wiatr wiał mocno, zagłuszając ciszę swoim wyciem i ciskając białym puchem prosto w jej twarz. Musiała zwolnić do stępa w obawie przed spotkaniem z ostrymi zębami drutu kolczastego, którego nie mogła dokładnie dostrzec. Przygryzła wargi, czując, że ogarniają potężne przerażenie.

Jakże okropnie mi zimno, myślała, drżąc z powodu niewyobrażalnego chłodu.

Śnieg przemoczył jej wełniane spodnie i wciskał się bezlitośnie za kołnierz płaszcza. Zgarbiła plecy, broniąc się przed wiatrem.

Puściła wodze luzem, z nadzieją, że instynkt poprowadzi konia do ciepłej stajni. Wlokły się po ziemi ledwie widoczne w wirującym wokół białym tumanie. Czas i przestrzeń przestały istnieć. Próbowwała krzyczeć, ale jej głos niknął w skowycie wiatru.

Czuła się zupełnie bezradna. Przemarżała już do szpiku kości i opuszczały ją siły. Wirujący śnieg działał na nią hipnotyzująco. Powoli zapadała w letarg. Maleńka cząstka jej umysłu podpowiadała jej, że przetrwanie zależy teraz od tego, jak długo pozostanie świadoma i czujna.

Brnęła więc dalej. Nie tyle ona, co jej zmęczony koń. Powieki Samanty stawały się bardzo ciężkie. Resztką sił utrzymywała otwarte oczy. Śnieg wpadał jej za kołnierz. Przyłgnęła do końskiej grzywy, trzymając się szyi Spooka. Patrzyła na jego przednie kopyta i liczyła każdy krok. Koń przedzierał się z trudem przez szalejącą burzę śnieżną. Czuła, że już dłużej nie jest w stanie zachować koncentracji.

Jeśli zamknę oczy, myślała, nie będę widziała tej oślepiającej bieli i mogę zasnąć. Och, jak chciałabym zasnąć... Śnieg coś do mnie mówi, majaczyła. Nic dziwnego. W końcu to żywa istota. Tylko nie wiem, dlaczego jego głos jest podobny do głosu Jake'a. Zaśmiała się z bezsilności. Niby dlaczego właściwie miałby nie być do niego podobny?

- Samanto! - wołał do niej śnieg. - Otwórz oczy. Przystań się śmiać i otwórz oczy.

Z trudem zmusiła się, aby wykonać polecenie. Jak przez mgłę zobaczyła zamazaną przez śnieżycę sylwetkę Jake'a.

- Będziesz ostatnią osobą, jaką zobaczę przed śmiercią. - Z westchnieniem zamknęła ponownie oczy i zamilkła.

- Powiedz Danowi, że ją znaleźliśmy - krzyknął Jake, przekrzykując wycie wiatru. - Zabieram ją teraz do Double T.

Ciemność ukołysa Samantę. Czuła, jak zapada się powoli w otchłań bez dna.

Po jakimś czasie odzyskała świadomość. Zaskoczona, rozglądała się wokół. Znajdowała się w małym pokoju. Śnieg, który - jak się jej zdawało - otaczał ją zewsząd, wcale nie był śniegiem. Było to łóżko z ciepłą, grubą narzutą. Westchnęła spokojnie. Ciężkie powieki opadły ponownie.

- Och, nie! Nie rób tego. - Samanta otworzyła oczy i zobaczyła Jake'a stojącego w drzwiach.

- Witaj.

Usta miał zaciśnięte. Samanta odniosła wrażenie, że Jake jest zły. Patrzyła na niego z zaciekawieniem.

- Coś ty, do diabła, tam robiła w taką śnieżycę? Widziałem już wiele idiotyzmów, ale przejażdżka konno w środku zamieci śnieżnej bije je na głowę.

Chciała poprosić go, żeby przestał na nią krzyczeć, ale zabrakło jej sił.

- Gdzie ja jestem? - Tyle tylko była w stanie z siebie wydusić.

Jake usiadł na brzegu łóżka, uniósł jej głowę i przytknął do ust kubek

- Proszę, najpierw to wypij, a potem pogadamy.

Brandy było ciepłe i mocne. Samanta krztusiła się i z trudem łapała powietrze, kiedy Jake wlewał jej napój do gardła. Rozluźniona alkoholem opadła z resztek sił. Świat zawirował jej w oczach.

- Pytałaś, gdzie jesteś. Otóż u mnie, w Double T.
- Jake odstawił pusty kubek i położył głowę Samanty na poduszkach.

- Aha.

- To wszystko, co masz do powiedzenia? - Znow uniósł się gniewem. Chwycił ją za ramiona, jakby chciał nią potrząsnąć. - Tylko „aha”? Coś ty tam, do cholery, robiła?

- Wydaje mi się, jakby to było tak dawno temu - westchnęła i zamknęła oczy. - Nie padał śnieg, kiedy wyjeżdżałam - powiedziała, próbując się bronić.

- Nie padał śnieg? - powtórzył Jake z niedowierzaniem. - Samanto, czyś ty nie widziała nieba? Gdzie ty masz rozum?

- Cokolwiek zrobiłam, to nie powód, żebyś mnie obrażał - odparła.

- Nie ma powodu? Czyś ty postradała zmysły? Czy zdajesz sobie sprawę, co mogło się stać? - Wcisnął ręce w kieszenie, jakby z trudem hamował się, żeby jej nie udusić. - Byłaś tak daleko, w środku burzy śnieżnej, na wpół zamarznęta i całkowicie zagubiona! To cud, że cię znaleźliśmy. Jeszcze chwila, a leżałabyś tam pod śniegiem i nikt by cię nie znalazł aż do wiosny. Dan

umierał ze strachu, kiedy do mnie dotarł i powiedział, że pojechałaś w góry.

- ASabrina?

- Ona o niczym nie wie. - Spojrzał na nią ponownie. - Drzemała i nie zorientowała się, że pojechałaś. Pewnie jej nawet na myśl nie przyszło, że mogłaśjechać. W taką pogodę!!! - zaśmiał się chrapliwie z nutą sztucznego szyderstwa w głosie.

Samanta wzdrygnęła się na wspomnienie śniegu i swojego lęku.

- Przepraszam - powiedziała, szlochając. Łzy płynęły jej po policzkach. Jake zaklął pod nosem i przeczesał palcami włosy. Zbliżył się do niej i wziął ją w ramiona.

- Samanto - powiedział cicho, wtulając twarz w jej włosy. - Nie wyobrażasz sobie, przez co musieliśmy wszyscy przejść z twojego powodu!

- Przepraszam - powtórzyła i zaczęła szlochać coraz głośniej. - Byłam tak przerażona i zmarznięta.

Jake szeptał słowa, których nie mogła zrozumieć, jego usta muskały jej włosy i policzki, aż zetknęły się z jej ustami w pocałunku słonym od jej łez.

- Kompletnie przemoczyłam twoją koszulę - szepnęła po chwili.

Westchnął głęboko, a uśmiech rozpromienił jego twarz.

- To jest bez wątpienia największa katastrofa dzisiejszego dnia.

- Jest ciemno - powiedziała nagle. - Jak długo...?

- Zbyt długo. Teraz potrzebujesz odpoczynku.

- A co ze Spookiem? - zapytała, kiedy kładł ją z powrotem na poduszki.

- Odsypia tę przygodę w stajni. Muszę dodać, że wygląda o wiele lepiej od ciebie.

- Chcę ci podziękować za wszystko. - Złapała go za rękę. Nagle zorientowała się, że nie okrywa jej nic poza pościelą. - A... moje ubrania? - wyjąkała, podciągając wyżej kołdrę w geście, który rozbawił Jake'a.

- Były przemoczone do suchej nitki, Sam. - Jake wstał. - Najważniejsze było, żeby cię osuszyć i ogrzać.

- Narobiłam jeszcze kłopotu Annie. - Wspomnienie gosposi Jake'a sprawiło, że się uśmiechnęła. - Podziękujesz jej w moim imieniu?

- No cóż, Sam. Annie wyjechała wczoraj na tydzień w odwiedziny do swojego bratanka do Kolorado. - Uśmiechnął się szerzej.

- A więc kto...? - słowa zamarły na jej ustach, a oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. - O, nie - wyszeptała zawstydzona, przymykając oczy.

- Nie ma powodu, abys czuła się skępowana, Sam. Masz piękne ciało.

- O, nie - jęknęła i zacisnęła mocniej powieki.

- A teraz nie płacz - powiedział to takim tonem, że znowu zobaczyła w nim tego bezczelnego kowboja, którego spotkała miesiąc temu w marcowy wieczór. - Kiedy zdejmowałem z ciebie ubranie i wycierałem twoje mokre ciało, robiłem to jak lekarz, nie jak mężczyzna. Zachowałem się tak w stosunku do każdej osoby potrzebującej pomocy. - Poklepał jej dłoń. Pod wpływem tego dotknięcia oczy Samanty rozwarły się szeroko.

- Tak, oczywiście - bąkała niepewnie, zwilżając płonące wargi. - A więc... dziękuję ci.

- Nie ma sprawy. Nie zwracaj sobie tym głowy.
- Skierował się w stronę drzwi. Zatrzymał się i ponownie odwrócił. - Ale kiedy następnym razem będę cię rozbierał, moje intencje będą zupełnie inne.

Przeszedł przez pokój i wyszedł, zostawiając Samantę niezdolną do wykrztuszenia choćby jednego słowa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Samanta rozejrzała się wokół siebie. Pamiętała, że była w domu Jake'a. Pamiętała też, co gorsza, że leżała w łóżku naga. Właśnie rozważała, czy nie owinąć się w narzutę i poszukać jakiegoś odpowiedniejszego stroju, gdy usłyszała kroki w holu. Naciągnęła kołdrę pod brodę. Po chwili w drzwiach pojawił się Jake.

- Widzę, że nie śpisz. Jak się czujesz?

- Dobrze. - Czuła, że jej puls przyspieszył, kiedy Jake podszedł do niej i usiadł na brzegu łóżka. - Naprawdę dobrze - powtórzyła i dodała zmieszana: - Śnieg nadal sypie.

- Tak, rzeczywiście - potwierdził, nie odrywając wzroku od jej twarzy. - Ale nieco słabiej.

- Naprawdę? - Wyrzała przez okno.

- Do południa będzie po wszystkim. - Chwycił ją za rękę, gdy puściła brzeg kołdry. - Spokojnie, Sam. Nie mam najmniejszego zamiaru cię zgwałcić. Chcę ci tylko zmierzyć puls.

- Ale ja czuję się dobrze - powtórzyła.

- Daleko ci do tego, Samanto - poprawił ją. Pogładził jej policzek. - Po pierwsze, musisz wzmocnić się i coś zjeść. - Wstał i podał jej flanelowy szlafrok, który położył wcześniej w nogach łóżka. - Pewnie będziesz

się lepiej czuła, kiedy będziesz miała coś na sobie. - Uśmiechnął się zadowolony z żartu. - Dasz radę sama się w to ubrać?

- Oczywiście, że tak. - Sięgnęła po szlafrok, drugą ręką podtrzymując brzег kołdry.

- Ale lepiej uważaj. Załóż to i wracaj do łóżka. Przyniosę ci śniadanie.

- Ja nie będę...

- Nie kłóć się ze mną - powiedział kategorycznie. Wyszedł, zanim zdołała coś dodać.

Gdy zamknął drzwi, Samanta wysunęła się spod kołdry i założyła szlafrok. Kiedy stanęła na nogi, poczuła, że świat wiruje jej przed oczami. Opadła ponownie na łóżko. Owinęła się szczelnie szlafrokiem i ponowiła próbę. Nogi miała ciężkie i słabe. Poczowała ból w kostce. Przytrzymała się oparcia łóżka, żeby nie upaść. Podwinęła kilka razy rękawy szlafroka i ruszyła pomału w kierunku łazienki, żeby przejrzeć się w lustrze.

Widok jej własnego odbicia przestraszył ją. Skórę miała niemal przezroczystą, a oczy ciemne i podkrążone. Przeczesała palcami włosy, opadające na ramiona, przykryte ciemnoniebieskim szlafrokiem.

Musi należeć do niego, pomyślała, patrząc na za długie dla niej rękawy i połę szlafroka, sięgające niemal do kostek. Jej ciało przeszedł dreszcz na myśl, że ten materiał dotykał też jego ciała. Odwróciła się i spojrzała na łóżko. Nie zamierzam tam wracać, westchnęła. Mogę jeść przy stole jak normalny człowiek.

Po chwili szła niepewnym krokiem przez hol. Czuła, jak z każdym krokiem jej nogi robią się coraz bardziej

miękkie. Dom wydawał się cichy i spokojny. Brakowało jej odgłosów codziennej krzątania, świadczących o obecności innych osób. Przystawała co chwila, chwytając się ściany i powstrzymując zawroty głowy.

- To śmieszne - powiedziała.

- Masz rację - usłyszała za swoimi plecami. Jake złapał ją za ramię. - Dlaczego nie leżysz w łóżku?

- Ze mną wszystko w porządku. - Odsunęła się od niego. Chwytał ją w talii, żeby ją podtrzymać. - Jestem tylko nieco słaba i mam problem z kostką.

Spojrzał na jej nogę.

- Pewnie skreśliłaś ją, spadając z konia.

- Spadłam ze Spooka? - zapytała z niedowierzaniem.

- Byłaś już nieprzytomna. A teraz wracaj do łóżka i zaczekaj tam, aż przyjdę. - Przytrzymał ją, a ona złożyła swą głowę na jego ramieniu.

- Jake, nie zmuszaj mnie, żebym wracała do łóżka. Tam jest tak cicho, a ja nie chcę być teraz sama.

- Jeśli sądzisz, że dasz radę usiedzieć na krześle, nie zsuwając się z niego, to możesz przyjść do kuchni.

Westchnęła ciężko i zamknęła oczy.

- Nie lubię sprawiać tyle kłopotu.

Zanim ruszyli do kuchni, uniósł jej głowę i stanowczo powiedział:

- Wiedziałem, że będziesz sprawiała kłopoty, gdy tylko cię ujrzałem.

- Nie drocz się ze mną, Jake. Próbuję ci podziękować.

- Za co?

Uniosła dłoń do jego policzka i odwróciła jego twarz, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Za uratowanie mi życia.
- Więc na przyszłość lepiej dbaj o swoje życie - zasugerował.
- Jake, proszę cię, ja mówię poważnie. Zawdzięczam ci...
- Nic mi nie zawdzięczasz. - W jego głosie słychać było rozdrażnienie. - Nie chcę twojej wdzięczności. - Dotarli do kuchni. Posadził ją na krzesło przy stole.
- Która kostka cię boli? - Ukucnął u jej stóp.
- Lewa. Jake, ja... Au!
- Przepraszam. - Uśmiechnął się do niej. - Nie jest spuchnięta.
- Ale nadal boli - upierała się.
- No to jej nie używaj - doradził z rozbrajającą szczerością, po czym zabrał się do przyrządzania śniadania.
- Ma pan niezwykle fachowe podejście do problemu, doktorze Tanner - zauważyła chłodno.
- Zdecydowanie, proszę pani. Już mi to wypominało. - Uśmiechnął się uprzejmie. - Powiedz mi, Sam. Czy Sabrina też ma pieprzyk na lewym biodrze?
- Samanta poczuła, jak krew napływa jej do twarzy.
- Ty, ty... - nie dokończyła, zajęta nerwowym poprawianiem szlafroka.
- Masz, napij się kawy - zmienił temat i postawił na stole filiżankę. - Już znowu jesteś blada jak ściana. Kiedy ostatnio coś jadłaś?
- Ja, no... Pewnie wczoraj, podczas śniadania.
- Grzankę i kawę, jak przypuszczam. To cud, że w ogóle możesz siedzieć. Jedz! - Nałożył jej plaster bekonu na talerz. - Jajka będą gotowe lada chwila.

Posłusznie zgodziła się i zaczęła jeść. Już po pierwszym kęsie poczuła, jak nieprawdopodobnie jest wygodniała. Zajęta jedzeniem, przyglądała się Jake'owi, który szykował swoją porcję. Zaskoczyła ją sprawność, z jaką wykonywał czynności w kuchni.

Po chwili usiadł naprzeciwko niej z pełnym talerzem.

Obserwowała go ukradkiem i niespodziewanie przyszło jej do głowy, że pierwszy raz w życiu je śniadanie z obcym mężczyzną. Nie wywarło to jednak na niej specjalnego wrażenia. Zapach smażonego bekonu i kawy w powietrzu, cisza i pustka wokół nich, dotyk materiału jego szlafroka na jej skórze; Samanta pomyślała, że to wygląda tak, jakby byli kochankami, jakby spędziła z nim noc, a teraz jedli wspólne śniadanie.

- Nie wiem, co wywołało rumieniec na twoich policzkach, ale nie przestawaj o tym myśleć.

Uniosła głowę i patrząc na niego, poczuła się nieswojo, ponieważ zorientowała się, że Jake doskonale wiedział, o czym przed chwilą myślała. Spuściła wzrok na talerz.

- Powinnam zadzwonić do Sabriny i powiedzieć, że ze mną wszystko w porządku - powiedziała tylko.

- Telefony nie działają - wyjaśnił spokojnie.

- Nie działają? - powtórzyła.

Przyszło jej do głowy, że równie dobrze mogliby być na bezludnej wyspie. Telefony nie działają, a śnieg pada, jakby nigdy nie miał przestać. Są całkowicie odcięci od świata.

- Przy takiej pogodzie to normalne. Prądu też nie ma. Korzystamy z zasilania awaryjnego - wytłumaczył. - Nie martw się, Sabrina wie, że jesteś ze mną.

- Jak myślisz, kiedy będę mogła wrócić do domu?
- Jego słowa ani trochę nie zmniejszyły jej zdenerwowania.

- Za kilka dni. - Wzruszył ramionami i pociągnął łyk kawy. - Dopóki burza nie ustanie, drogi będą nieprzejezdne, a i ty na razie nie nadajesz się do podróży. Za dzień czy dwa będziesz w lepszej formie.

- Kilka dni?

Jake odchylił się do tyłu w swoim krześle.

- Co najmniej. Do tego czasu musisz się pogodzić z utratą resztek reputacji. Sam na sam ze mną przez dwa, trzy dni. Bez Annie, która mogłaby służyć za przyzwoitkę. - Przesunął wzrokiem po jej szczupłym ciele. - I na dodatek w moim szlafroku. - Potrząsnął głową. - Jeszcze kilka lat temu musiałbym najpierw cię poślubić.

- Dziękujemy niebiosom za postęp - dowcipnie zripostowała.

- Och, czy ja wiem, Sam - westchnął. - Mam staromodne podejście do pewnych spraw.

- To jedynie zbieg okoliczności, że jesteśmy tu sami.
- Dumnie złożyła ręce na piersi. - Z trudem, ale już się z tym pogodziłam.

- Tak? - Przyglądał jej się cierpliwie. - Jak do tej pory rozebrałem cię, wsadziłem do łóżka, zrobiłem śniadanie. Kto wie, do czego to może doprowadzić?

Samanta omal nie udławiła się kolejnym kęsem bekonu.

- Spokojnie - zaśmiał się zuchwale. - Już ci mówiłem, że zamierzam cię mieć, ale nie leży w moim cha-

rakterze porywanie się na kobietę bezbronną i pozbawioną sił. - Przerwał, by zapalić jedno ze swoich cygar. - Kiedy będziemy się kochać, wolałbym, żebyś była świadoma swoich czynów. Nie chciałbym, żebyś zemdlała w moich ramionach.

Męska arogancja nie zna granic, pomyślała, po czym dodała już na głos:

- Ty zarozumiały osłe! Jak śmiesz siedzieć tu przede mną i opowiadać mi o tym, jak będziemy się kochać? Wygląda na to, że nic cię nie powstrzyma.

- Któregoś dnia przypomnę ci o tym, Sam - powiedział łagodnie. - A teraz lepiej chyba będzie, jeśli się położysz. Nie jesteś jeszcze gotowa do walki ze mną.

- Nie zamierzam się kłaskać. A ty nie musisz tak skakać wokół mnie. Radzę sobie sama. - Mówiąc to, wstała, by za chwilę złapać się stołu, kiedy pokój zatańczył jej przed oczyma.

- Młynków raczej nie będziesz na razie kręcić, pani nauczycielko - zauważył Jake, obejmując ją ramieniem.

- Nic mi nie jest. - Ręka, którą chciała go odepchnąć, wylądowała na jego klatce piersiowej, gdy Samanta ponownie straciła równowagę.

Uniósł jej brodę. Tym razem już się nie uśmiechał.'

- Są dni, kiedy musisz być silna na tyle, by pogodzić się z czyjąś pomocą. Musisz przekazać mi władzę na kilka najbliższych dni. A im bardziej będziesz z tym walczyć, tym dłużej będziesz dochodzić do sił.

Z westchnieniem i nie opierając się dłużej, pozwoliła, by jej głowa opadła na jego ramię. Nie protestowała też, kiedy objął jej twarz dłońmi.

- Czy to musi mi się podobać?

- Niekoniecznie - zaśmiał się, biorąc ją na ręce i ruszając w kierunku sypialni.

Ta demonstracja kosztowała ją wiele energii. Wy-czerpana dała się położyć do łóżka. Zasnęła, zanim jeszcze dotknął delikatnie wargami jej czoła...

- Już myślałem, że prześpisz całą noc.

Na dźwięk jego głosu gwałtownie uniosła głowę. Siedział w drugim końcu pokoju. Dym z cygara kłębił się leniwie pod sufitem. Ogień trzaskający w kominku odbijał się w jego oczach.

- Ciemno już - zauważyła, siadając na łóżku. - Która jest godzina?

- Po szóstej. - Rzucił okiem na złoty zegarek.

- Szóstej? O rany, spałam strasznie długo. Czuję się, jakbym przespała kilka tygodni, a nie godzin.

- Potrzebowałaś tego. - Cisnął cygaro w ogień i podszedł do niej. Powiódł zatroskanym wzrokiem po jej zaróżowionych od snu policzkach i zaspanych oczach. Stopniowo na jego twarzy zaczął pojawiać się uśmiech. - Odzyskujesz właściwe kolory. - Wziął jej nadgarstek w swoją dłoń, co sprawiło, że odwróciła oczy w stronę kominka. - Tętno jeszcze trochę przyspieszone - uśmiechnął się. - Głodna?

- Nie powinnam być, bo przecież cały dzień przeleżałam w łóżku, nic nie robiąc. Ale umieram z głodu.

Uśmiechnął się ponownie, po czym uniosł ją. Nie opierała się. Czowała się bardzo krucha i delikatna w jego ramionach. Uczucie z jednej strony przyjemne, z dru-

giej jednak nieco niepokojące. Z trudem powstrzymała się przed ponownym oparciem głowy na jego silnym ramieniu. Z lubością natomiast zapatrzyła się w jego ostre, twarde rysy twarzy.

- Myślę, że już mogę iść sama. Czuję się naprawdę dobrze.

- Wątpię w to. Poza tym wygląda na to, że idealnie pasujesz do moich ramion.

Nie znajdując odpowiedzi, pozwoliła się w milczeniu zanieść do kuchni.

Zadowolona i syta, odchyliła się na krześle, popijając białe wino. Uniosła kieliszek w stronę Jake'a i pokiwała głową z aprobatą.

- Kiedyś uszczęśliwisz jakąś kobietę. Jesteś niebywale zdolnym kucharzem - powiedziała z uznaniem.

- Mam taką nadzieję. Moja żona rzeczywiście nie będzie musiała być mistrzynią patelni - przyznał. - Wymagałbym raczej innych cech od przyszłej pani mojego serca.

- Uwielbienia? - zaproponowała Samanta. - Posłuszeństwa, niezachwianej lojalności i troskliwości?

- Na początek może być.

- Biedna kobieta.

- Oczywiście wcale nie chcę, żeby czuła się mało ważna. Powiedzmy, że pragnę kobiety, która sama potrafi myśleć. A do tego jest ładna.

- No, jak na razie nie jesteś zbyt wymagający. Ot, szukasz kobiety perfekcyjnej - zachichotała.

- Kobieta, o której myślę, spełnia, jak sądzę, moje

wymagania. - Uśmiechnął się i wstał, żeby zaparzyć kawę.

Samanta patrzyła na niego i nagle poczuła, jakby ktoś popchnął ją w przepaść. W jej mózgu, niczym neon, zabłyśły litery składające się na imię Lesley Marshall.

Jake odrzucił jej propozycję, że pozmywa naczynia, i zaniósł ją na kanapę do salonu.

- Czuję się bezużyteczna - powiedziała cicho znad sterty poduszek. - Nie nadaję się do ciągłego leżenia, nigdy nie byłam chora. - Spojrzała na niego pośępnie, jakby wszystko było jego winą. - Nie mam pojęcia, jak Sabrina daje sobie z tym radę, a przecież ona jest przykuta do łóżka już od miesiąca.

- Być może ty wzięłaś jej siłę, a ona twoją cierpliwość - zastanowił się Jake. Wzruszył ramionami i dodał: - Ale oczywiście mogę się mylić.

No cóż, Samanto, besztłała się w myślach. W ładne tarapaty się wpakowałaś tym razem. Nie dość, że jesteś tu odcięta od świata z mężczyzną, który sprawia, że czujesz się nieswojo, to jeszcze nie masz siły. żeby normalnie stanąć na nogach. Mówi się, że ludzie szybko się poznają, mieszkając razem, ale obawiam się, że rozgryzienie tego faceta zajmie o wiele więcej czasu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Świtało. Różowe i złote pasma malowały się na zamglonym niebie, a światło delikatnie przenikało przez chmury.

- Już ranek? - wyszeptała Samanta. Usiadła energicznie na łóżku i potrząsnęła głową, żeby odpędzić resztki snu. Naciągnęła na siebie pożyczony od Jake'a szlafrok, wzięła trzy głębokie oddechy i stanęła na podłodze. Gdy pokój przestał wirować przed jej oczami i ustały zawroty głowy, odetchnęła z ulgą. Nogi miała miękkie i słabe, ale już nie ugiwały się pod nią jak poprzedniego dnia. Także ból w kostce nie był już tak dokuczliwy.

Mogę się poruszać, pomyślała z radością. Nigdy dotąd tego nie doceniałam. A teraz mam wielką ochotę na kawę.

Podeszła do drzwi z zamiarem zrealizowania swych planów, ale niespodziewanie drzwi otworzyły się. Samanta krzyknęła zaskoczona.

Jake stanął przed nią, wycierając mokre włosy ręcznikiem. Ciało luźno okrywał mu welurowy płaszcz kąpielowy.

- Dzień dobry pani.
- Ale mnie wystraszyłeś - powiedziała, nie mogąc

oderwać wzroku od jego szczupłego, opalonego ciała, ledwo osłoniętego szlafrokiem. Jake zrobił krok w jej stronę, co wywołało gwałtowne przyspieszenie jej oddechu. - Ja... ja czuję się już znacznie lepiej - jąkała się. - Mogę już chodzić całkiem prosto.

Zniżyła głos do szeptu, kiedy Jake stanął tuż przed nią. Jej oczy znalazły się na wysokości jego nagiego torsu. Pogładził ją po policzku. Zadrzała.

- Spokojnie, Sam - zaśmiał się. - Chcę się tylko upewnić, że z tobą wszystko w porządku. Musisz mieć końskie zdrowie - dodał z rozbrajającą szczerością. - Wyglądasz, jakbyś wróciła właśnie z wakacji, a nie dopiero co walczyła ze śnieżycą i nieomal zamarzła na śmierć. Większość kobiet unieruchomiłoby to na tydzień.

- Ale ja nie jestem jak większość kobiet. - Odepchnęła jego dłoń od swojej twarzy. - Nie jestem krucha i delikatna i nie zamierzam wracać do łóżka. Mam zamiar przygotować śniadanie. - Prześliznęła się obok niego i zaczęła schodzić do holu.

- Kawa już jest gotowa - zawołał za nią.

Prawie kończyła szykować śniadanie, kiedy Jake dołączył do niej. Ubrany był w bardziej konwencjonalny strój: dzinsy i flanelową koszulę. Usiadł przy kuchennym stole, popijał kawę i patrzył na nią bez słowa.

- Zaczynam się przyzwyczajać do jadań śniadań w tak miłym towarzystwie - powiedział, kiedy usiadła naprzeciwko niego.

- Jestem pewna, że nie jestem pierwszą osobą, która ci towarzyszy - odrzekła z udawaną obojętnością. - I pewnie nie ostatnią, dodała w myślach.

- Nie - zgodził się. - Ale nie sposób nie powiedzieć czegoś miłego na widok takich pięknych niebieskich oczu.

- Niebieskie oczy są dość pospolite ~ mruknęła i spuściła wzrok w swój talerz.

Jake nie mówił nic przez dłuższą chwilę, a Samanta dłubała widelcem w swojej jajecznicy.

- Musimy do jutra wyjaśnić sobie parę spraw.

- Do jutra? - powtórzyła. Poczowała ucisk w żołądku.

- Na zewnątrz jest jeszcze sporo śniegu. Niektóre zasy przypominają małe góry. Pewnie trochę czasu zajmie ich usunięcie.

- Rozumiem.

- Myślisz, że poradzisz sobie sama dzisiaj przez chwilę?

- Słucham? Och, oczywiście. Nic mi nie będzie.

- Muszę dopilnować kilku spraw. Ludzie potrzebują teraz każdej pomocy, jaką mogą otrzymać - westchnął.

- Nie mamy już siana, a zwierzęta nie mogą dokopać się do trawy. Stoją tam i umierają z głodu.

- Domyślam się, że burza śnieżna wyrządziła wiele poważnych szkód.

- To drobiazg w porównaniu ze stratami, jakie mieliśmy kilka lat temu. - Przyglądał jej się w milczeniu znad kubka z kawą. - Nie chcę zostawiać cię samej, zwłaszcza że telefon nie działa.

Wzruszyła ramionami.

- Nie martw się o mnie. Poradzę sobie. - Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Nie wiem, ile czasu może mi to zająć.

- Jake, przestań robić zamieszanie. Naprawdę dobrze się czuję.

Przechylił głowę.

- Wstań. Chcę sam sprawdzić, w jakiej jesteś formie.

Zanim wyczuła jego intencje, chwycił ją w ramiona i namiętnie pocałował. Czuła, że nogi się pod nią uginają.

Jego usta dotykały ją delikatnie, kusząco. Zębami przygryzał jej dolną wargę. Jęknęła z rozkoszy. Po chwili chwycił go za ramiona, żeby odzyskać równowagę i odepchnęła go od siebie, kręcąc przecząco głową.

- Teraz, Sam... - mówił miękko, błagalnym głosem. Jego dłonie, oparte na jej biodrach, trzymały ją jednak delikatnie. - Przecież nie wyślesz mężczyzny na taki ziąb bez ofiarowania mu czegoś ciepłego, co mógłby wspominać. Prawda?

Przyciagnął ją bliżej, trzymając za biodra, aż ciała ich przywarły do siebie. Pocałunkiem zgasił jej wszelkie próby protestu, a jego język ostrożnie, acz zdecydowanie wnikał głębiej między jej wargi. Pokój zawirował w jej oczach, niemal równie dziko, jak wczoraj. Powoli jego dłonie pięły się w górę. Przesunął nimi po kragłociach jej piersi, podczas gdy jego język przezwyciężał coraz słabszy opór Samanty. Wtulała się w niego, zapominając o zdrowym rozsądku. Każde jego dotknięcie coraz bardziej ją rozpalało. Jęknęła cicho, kiedy całował jej szyję i badał wargami każdy centymetr jej skóry. Jego język był ciepły i wilgotny. Jęknęła ponownie, gdy wziął w usta płatek jej ucha i ssał go łagodnie. Nie

mogła się powstrzymać i przyciągnęła jego wargi do swoich rozpalonych ust.

Nie zaspokoił jej. Odepchnął ją równie gwałtownie, jak wcześniej przyciągnął. Oszołomiona i bezsilna, była w stanie jedynie siedzieć i patrzeć na niego, podczas gdy jej ciałem wstrząsały dreszcze spowodowane niezwykle silnymi emocjami.

- Szybko się uczysz, Sam. To by wystarczyło, żeby powstrzymać każdego przed wyruszeniem w śnieżycę.

Wściekła cofnęła rękę.

- Posłuchaj, Sam - powiedział spokojnie, ignorując jej złość. - Nie jesteś jeszcze wystarczająco silna na zapasy. Daj sobie jeszcze kilka dni odpoczynku. - Uniósł jej dłoń i pocałował, gwałtownie przerywając jej wewnętrzną walkę z samą sobą. - Przyprowadzę Wolfganga, żeby miał na ciebie oko. Odpocznij dziś i pamiętaj, proszę, że nie jesteś jeszcze tak mocna, jak byś chciała.

Zwichrzył jej włosy jak małemu dziecku i po chwili zniknął w sieni.

Trochę później, stojąc pod gorącym prysznicem, próbowała zmyć z siebie dotyk jego dłoni. Wróciła do sypialni, ubrała się i wyruszyła na zwiedzanie domu. Bernardyn podążał krok w krok za nią.

Dom był pełen mniejszych i większych cudownych skarbów. Było tu dębowe biurko z drzwiczkami w kształcie żaluzji, szafeczka zdobiona rzeźbą z motywem konia, wreszcie kołyska z ażurowymi ozdobami. Westchnęła, zastanawiając się, czy to w niej kołysał się

maleńki Jake. Otworzyła kolejne drzwi i znalazła się w bibliotece.

Czuć było tu zapach skóry i kurzu. Przesunęła palcami po grzbietach starych książek. Wyciągnęła mały tomik poezji miłosnej i otworzyła go. Delikatne, kobiece pismo zdobiło prawy górny róg karty tytułowej. Usta Samanty wykrzywiły się w grymasie bólu i złości.

„Kochanemu Jake'owi. Żeby wspomnienia nigdy nie wygasły:

Całuję, Lesley”.

Ze złością zatrzasnęła książkę. Przez ułamek sekundy przemknęło jej przez głowę, żeby wyrzucić ją do kosza. Ale opanowała się, zacisnęła zęby i odstawiła ją na półkę.

- Dla mnie to bez znaczenia - poinformowała Wolfganga. - Może mu dawać setki tomików poezji. Ba, tysiące! To jej przywilej. - Pacnęła psa po nosie i dodała: - Chodź, Wolfgang, idziemy stąd.

Wrócili do salonu. Dołożyła drewna do kominka, a potem usiadła przy nim, podciągając nogi pod brodę.

Godzina zamieniła się w dwie, dwie zamieniły się w trzy. Kiedy zegar wybił szóstą, w głowie Samanty pojawiła się myśl, że Jake powinien być już wrócić. Na zewnątrz zapadał zmrok. Wstała i wyjrzała przez okno.

Co będzie, jeśli coś mu się stało? - pomyślała prze-

rażona. Poczwała, że zaschło jej w gardle i ścierpła skóra. Dodała sobie odwagi, tłumacząc, że na pewno nic złego nie mogło się wydarzyć. Przecież Jake jest taki silny i pełen energii.

Złożyła ręce na piersi, żeby odpędzić nagłe poczucie chłodu.

Ale dlaczego ja się tak tym przejmuję?

- Ponieważ - odpowiedziała sobie na głos donośnie i wyraźnie - kocham go. Straciłam rozum i zakochałam się. - Uniosła ręce do oczu, jakby broniąc się przed tą przerażającą myślą. - Och, jak mogłam być tak głupia? Ze wszystkich facetów na świecie musiałam akurat wyszukać Jake'a i zakochać się właśnie w nim - mężczyźnie, który wybrał na żonę Lesley Marshall. Czy to dlatego czuję się tak rozdarta? Czy to dlatego reaguję na niego, jak na nikogo do tej pory? - Patrząc w zapadające ciemności, pomyślała jednak, że ostatecznie w tej chwili nic nie było ważne i o nic jej samej nie chodziło tak bardzo, jak tylko o to, żeby Jake bezpiecznie wrócił do domu.

Kiedy wreszcie do jej uszu dobiegł trzask zamykanych drzwi, pobiegła do przedpokoju i rzuciła się na szyję zdumionemu Jake'owi.

- Sam, co się dzieje? - Starał się odciągnąć ją od mokrej i lodowatej kurtki.

- Bardzo się bałam, że coś mogło ci się przytrafić. - Jej głos ledwo do niego docierał, ponieważ mocno wtulała się w jego ramiona.

- Poza tym, że jestem przemarznięty i na wskroś przemoknięty, nic się nie wydarzyło. - Tym razem zde-

cydowanie złapał ją za ramiona i odsunął od siebie.
- Cała będziesz w śniegu. - Patrzyła na niego dużymi, zażawionymi oczami. - Wybacz, że tak długo nie wracałem, ale było dużo różnej roboty, a w takim bałaganie wolniej się pracuje.

Samanta cofnęła się, zawstydzona swoim wybuchem.

- Musisz być zmęczony. Przepraszam, że tak się zachowałam. To pewnie dlatego, że spędziłam samotnie cały dzień w pustym domu. - Cofnęła się w stronę drzwi. - Pewnie marzysz o tym, żeby się wykapać i wypić coś gorącego. Obiad jest już gotowy.

- Coś pięknie pachnie - zauważył. Spojrzał na jej zarumienioną twarz i uśmiechnął się.

- Eee... To spaghetti - zająknęła się. - Pójdę dokończyć przygotowania.

Samanta wróciła do kuchni. Za plecami usłyszała jeszcze, jak Jake zawołał, że weźmie przed obiadem gorący prysznic. Odpowiedziała mu coś zdawkowo, udając, że jest pochłonięta przygotowaniem obiadu. Kiedy usłyszała jego oddalające się kroki, odetchnęła z ulgą.

- Ale ze mnie idiotka - westchnęła i z irytacją odgarnęła włosy z czoła. Takie zachowanie mogło prowadzić jedynie do kłopotów. Przynurzała sobie, że będzie trzymała emocje na wodzy. Zwłaszcza w obecności Jake'a Tannera.

Jutro, pomyślała z mieszaniną ulgi i rozczarowania, będę z powrotem w domu mojej siostry i unikanie Jake'a będzie wtedy o wiele prostsze. Muszę tylko przetrwać ten jeden wieczór i spróbować nie zrobić z siebie

idiotki. A potem muszę sobie wszystko poukładać w głowie.

Kiedy Jake wrócił, Samanta właśnie nakrywała do stołu.

- Jeśli to smakuje tak samo dobrze, jak wygląda, to umrę jako szczęśliwy człowiek. - Zajrzał do garnka i uśmiechnął się z uznaniem. Wyszedł na moment z kuchni i wrócił z butelką wina.

- Dobry burgund - powiedział, otwierając butelkę i stawiając na stole dwa kieliszki.

Po chwili siedzieli już razem przy stole.

- Samanto, to jest przepyszne. - Przerwał jedzenie, żeby jej to powiedzieć i uśmiechnąć się do niej. - Gdzie się nauczyłaś tak świetnie gotować?

- Najwięcej na słynnych lekcjach mojej mamy.

- Co jeszcze potrafisz?

- Pomyślmy. Potrafię świetnie skakać do wody, robię eleganckie arabeski, potrafię chodzić na rękach z taką łatwością, jak inni na nogach i tańczyć walca, bez odliczania kroków.

- Jestem pod wrażeniem twoich umiejętności. Jak kobieta o tak rozlicznych talentach spędza dzień?

Westchnęła i z grymasem na twarzy zaczęła bawić się swoim spaghetti.

- Głównie śpię. -

Zachłysnął się od napadu kaszlu, usiłując zdusić serdeczny śmiech.

Po obiedzie Samanta nalegała, że sama pozmywa. Wolała uniknąć niezręcznej bliskości, gdyby mieli razem z Jakiem zająć się uprzątnięciem po posiłku.

Kiedy skończyła sprzątać, przeszła do salonu. Jake dorzucił właśnie drewno do kominka.

- Napijesz się brandy?

- Nie, nie. Dziękuję. - Wzięła głęboki oddech i usiadła na sofie.

- Ogień jest wspaniały. - Chwyciła się pierwszego lepszego tematu, jaki przyszedł jej do głowy. - Zawsze marzyłam o kominku w swoim domu. Miałyśmy taki w domu rodzinnym, i razem z Sabriną piekłyśmy kukurydzą nad ogniem. Oczywiście zawsze ją spaliłyśmy i...

Nie dokończyła. Jake przyciągnął jej twarz ku swojej, a kiedy Samanta próbowała się bronić, jego brwi uniosły się w grymasie rozbawienia.

- Chcę cię tylko pocałować, Sam. - Przytrzymał mocniej jej brodę, a jego usta łagodnie musnęły jej wargi.

Wbrew samej sobie rozchyliła je, dając mu jednocześnie przyzwolenie na to, żeby wziął więcej.

- Samanto - wyszeptał jej imię.

- Całuj mnie - poprosiła cicho.

Zbliżył usta do jej warg. Przyłgnęła do niego. Jej ciałem wstrząsały dreszcze, a serce biło jej jak młot. Odwzajemniła pocałunek. Jej spragnione, słodkie usta przywarły do jego. Uśpiona do tej pory namiętność znalazła swe ujście. Liczyli się teraz tylko on i ona, i ich pożądanie.

Rozpiął jej bluzkę. Początkowe przerażenie przeredziło się w cudowne, magiczne wręcz uczucie, kiedy jego palce łagodnie sunęły po jej skórze. Jego usta pieściły jej szyję, jego twarz utonęła w jej włosach.

Bardziej poczuła niż usłyszała, jak wymawia jej imię. Niezbyt wyraźnie usłyszała natarczywy dźwięk dzwonka właśnie w chwili, kiedy wyciągała ręce, żeby mocniej przyciągnąć Jake'a do siebie i doznać rozkoszy.

- Nie mogli znaleźć lepszego momentu na naprawę tych cholernych telefonów? - zaklął cicho Jake.

Otworzyła oczy, które wydawały się ciemniejsze niż zwykle i popatrzyła na niego bez zrozumienia.

- Bardzo chciałbym zignorować ten dzwonek, Samanto, ale to może być coś ważnego.

Zmieszana zamrugała nerwowo. Cały czas czuła ciepło jego oddechu na twarzy.

- Telefony nie działały przez dwa dni i na pewno jest dużo szkód w terenie - powiedział jeszcze.

Odsunął się od niej, zabierając całe ciepło. Zmusiła się, żeby usiąść i osłoniła się koszulą. Niepewnymi, trzęsącymi się dłońmi zapięła guziki, na miękkich nogach podszła do ognia, chcąc się ogrzać. Kucnęła przed kominkiem, oplótła nogi ramionami i zamknęła oczy.

Co ja najlepszego zrobiłam? Jak mogłam się tak zatracić? - Myśli biegały jej po głowie. Co by się stało, gdyby nie zadzwonił telefon? Mocniej zacisnęła ramiona. Czy miłość zawsze boli? Czy zawsze sprawia, że czujesz się głupio?

- Samanto!

Drgnęła na dźwięk swojego imienia. Spojrzała na Jake'a pytająco.

- Dzwoni Sabrina.

Podniosła słuchawkę i, zanim się odezwała, nerwowo przełknęła ślinę.

- Cześć, siostrzyczko. - Jej głos jej samej wydał się nienaturalny. Mocniej zacisnęła palce na słuchawce.

- Sam, jak się czujesz?

- Dobrze. Ale teraz ważniejsze jest, jak ty się czujesz? Wszystko w porządku?

- Silniejsza z każdą chwilą. Cieszę się bardzo, że pomyślałaś o tym, by schronić się na Double T, kiedy zaczęło padać. Myśl, że mogłaby cię zaskoczyć ta śnieżyca, przerażała mnie.

- Wiesz, to cała ja. Zimna krew w kryzysowych sytuacjach. - Samanta o mały włos nie udławiła się, próbując opanować histeryczny śmiech.

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz, Sam? Masz dziwny głos. Nie jesteś przeziębiona?

- To pewnie coś na łączach przerywa.

- Och, już myślałam, że nigdy nie naprawią tych telefonów. Wiedziałam, że nie będę spokojna, dopóki z tobą nie porozmawiam i nie upewnię się, że jesteś bezpieczna. Oczywiście byłam pewna, że Jake się tobą zaopiekuje, ale to nie to samo, co usłyszeć twój głos. No dobrze, nie zatrzymuję cię. Do zobaczenia jutro. Ach, tak przy okazji, myślę, że Shylock tęskni za tobą.

- Pewnie cierpi na niestrawność. Powiedz mu, że jutro się spotkamy. - Odłożyła słuchawkę i jeszcze przez długą chwilę wpatrywała się w telefon.

- Sam?

Zadrżała ponownie na dźwięk głosu Jake'a. Odwróciła się i zobaczyła, że bacznie się jej przygląda.

- Ja... Eee... Sabrina czuje się dobrze. - Unikała jego wzroku, bawiąc się kablem od telefonu. Zrobiła

krok w tył, widząc, że Jake się zbliża. - Powiedziała, że kot za mną tęskni. To dość dziwne, bo Shylock jest bardzo samowystarczalny i pełen rezerwy w okazywaniu uczuć.

- Samanto, chodź i usiądź tutaj.

Wyciągnął do niej rękę, ale pomyślała, że jeśli go dotknie, będzie stracona.

- Nie, nie. Myślę, że lepiej będzie, jeśli wrócę do łóżka. Nie jestem jeszcze w formie.

- Nadal uciekasz, Sam? - Doskonale kontrolował gniew w swoim głosie.

- Nie, nie, ja...

- W porządku. Zatem na razie znaleźliśmy się w martwym punkcie. - Ujął w dłoń jej brodę, nim zdążyła zareagować. - Ale jeszcze nie skończyliśmy. Rozumiesz?

Pokiwała głową i uciekła w zacisze swojego pokoju.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Z każdym mijającym dniem Sabrina czuła się lepiej. Powiększające się krągłości dodawały jej uroku. Kiedy Samanta patrzyła na nią, dochodziła do wniosku, że siostra ma w sobie więcej siły, niż kiedykolwiek mogła przypuszczać. To było niezwykle ciekawe doświadczenie, patrzeć na zamysłoną dotychczas Sabrinę i widzieć, jak czerpie teraz z życia pełnymi garściami. Tymczasem to on, Samanta, stała się marzycielką i pogrążała się w zadumie. Musiała przyznać, że to Jake Tanner rozpraszał jej uwagę i wnikał w jej marzenia.

Wetknęła ręce w kieszenie i poszła, jak co rano, odebrać listy ze skrzynki.

Jak to on określił? Że będzie mnie miał? Próbowała sobie przypomnieć jego słowa podczas spaceru. Cóż, Samanta Evans nie ma zamiaru być w niczym posiadaniu. A zwłaszcza kogoś tak irytującego, jak ten czarujący kowboj o fascynujących zielonych oczach i pięknych ustach...

Dni stawały się coraz dłuższe, a słońce świeciło coraz mocniej. Wiosna rozkwitała zielenią trawy i kiełkującymi krokusami.

Samanta zbiegła do holu, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Nie było jej na rękę przyjmowanie teraz gości, gdyż była zajęta malowaniem pokoju dzieciennego. Wytarła ręce w spodnie ubrudzone kanarkowożółtą farbą i otworzyła drzwi.

Kobieta, która stała w drzwiach, uśmiechnęła się do niej szeroko. Jej piękne migdałowe oczy penetrowały z zaciekawieniem wnętrze mieszkania i oglądały ubranie Samanty.

- Witaj. Ty musisz być Samanta. Nazywam się Lesley Marshall.

Nie musiała się przedstawiać. Samanta rozpoznała kobietę intuicyjnie, choć nawet nie zdawała sobie sprawy, że jej intuicja jest tak nieomylna.

- Wejdz, proszę. Nadal jest chłodno, prawda? - Uśmiechnęła się z wysiłkiem i zamknęła drzwi.

- Tak się cieszę, że cię w końcu poznałam. - Lustrowała Samantę wzrokiem od stóp do głów. - Tyle o tobie słyszałam - dodała z lekkim rozbawieniem w głosie.

- Doprawdy? Obawiam się, że nie mogę zrewanżować się tym samym. - Samanta uśmiechnęła się przepraszająco. - Ale byłam dość zajęta.

- Odwiedziłabym was wcześniej, ale chciałam poczekać, aż Sabrina będzie czuła się na siłach, aby odbywać spotkania towarzyskie.

- Ostatnio czuje się znacznie lepiej. Jestem pewna, że ucieszy się z twojej wizyty. Pozwól, że wezmę twój płaszcz.

Powiesiła miękkie futro do szafy w holu. Ponownie odwróciła się do gościa i z trudem zachowała uprzejmy

uśmiech na twarzy. Jasnokremowe spodnie podkreślały szczupłą sylwetkę Lesley. Kusa różowa bluzeczka kontrastowała z jej hebanowymi włosami i jedwabistą skórą w kolorze kości słoniowej. Samanta zapragnęła nagle, żeby jej granatowa koszulka z napisem „Liceum Wilsona” i poplamione farbą dzinsy zamieniły się w coś o wiele bardziej wyszukanego. Włosy miała jak zawsze w nieładzie, ale nie próbowała nerwowo ich przygładzać.

- Sabrina jest w salonie - poinformowała. Czują na sobie spojrzenie jasnobrażowych oczu. - Właśnie miałam przygotować herbatę.

W tym momencie pojawiła się Sabrina. Samanta, zwolniona z roli gospodyni, uciekła w kierunku kuchni.

- Ona jest piękna - mruknęła do Shylocka i nastawiła czajnik. - Zadbana, elegancka i sprawia, że czuję się jak kocmołuch. - Odwróciła się, pochyliła i spojrzała na koci pyszczek. - Ale kogo to obchodzi? - Shylock przez chwilę patrzył na nią, ale po chwili ponownie poszedł spać. Samanta zamyśliła się.

- Sabrino, wyglądasz pięknie - powiedziała Lesley chwilę później, popijając herbatę z filiżanki z chińskiej porcelany. - Jestem pewna, że to także zasługa tego, że masz siostrę tak blisko siebie. Nie muszę ci mówić, jak się wszyscy o ciebie niepokoiliśmy.

- Bardzo to doceniam. Dzięki Samancie wszystko stało się takie proste. Nic nie muszę robić. Tylko siedzieć i wracać do zdrowia. - Spojrzała na siostrę z czułością. - Nie wiem, co byśmy bez niej zrobili w ciągu tych ostatnich dwóch miesięcy.

Lesley podążyła za jej spojrzeniem.

- Jake mówił mi, że jesteś nauczycielką gimnastyki - stwierdziła z niesmakiem.

- Instruktorem wychowania fizycznego - poprawiła Samanta.

- Podobno brałaś też udział w olimpiadach. Domyślałam się, że to musi być fascynujące. Nie masz mocnej, sportowej sylwetki. - W bardzo elegancki sposób wzruszyła ramionami i machnęła ręką. - Myślę, że nikt by cię nie posądzał o osiągnięcia sportowe.

Samanta ugryzła się w język, żeby nie odpowiedzieć niegrzecznie. Poczowała wielką ulgę, kiedy Lesley spojrzała na wąski, złoty zegarek i gwałtownie wstała.

- Muszę już lecieć, Sabrino. Jestem umówiona na kolację. Odwróciła się do Samanty i uśmiechnęła nieznacznie. - Cieszę się, że cię poznałam. Jestem pewna, że wkrótce znów się zobaczymy.

Wyszła, powiewając połamami futra i zostawiając za sobą zapach róż. Samanta opadła na miękkie krzesło.

- No i co myślisz o Lesley? - zapytała Sabrina, układając się wygodnie na sofie.

- Za wysoko zadziera swój wydelikacowany nosek.

- Daj spokój, Sam - uśmiechnęła się Sabrina. Ręce skrzyżowała na zaokrąglonym brzuchu.

- Nie wiem, po co pytasz, co myślę, skoro wydaje mi się, że doskonale znasz odpowiedź. Ale chcę ci powiedzieć, że jak na mój gust jest zbyt delikatna. I nie dbam specjalnie o to, że patrzy na mnie z góry.

- Właściwie to rzeczywiście nie masz sylwetki siłacza - powiedziała Sabrina niewinnie.

Samanta skrzywiła się, gwałtownymi szarpnięciami wyciągnęła spinki z włosów. Kaskada złotobrazowych włosów opadła jej na ramiona.

- Odpowiedziałabym jej dosadnie, gdybyś nie rzuciła mi spojrzenia pod tytułem „nie rób scen”.

- No cóż, Lesley potrafi być miła, jeśli jest to jej na rękę. Jej ojciec rozpieszcza ją do nieprzyzwoitości. Jej matka zmarła, kiedy Lesley była nastolatką, więc ojciec całą miłość skupił na córce. Kupował jej najwspanialsze kreacje, najlepsze konie, a kiedy dorosła, także samochody i wycieczki po Europie. Spełniał wszystkie jej marzenia, zanim zdołała je wypowiedzieć.

- Biedactwo. - Samanta poczuła się niezręcznie z powodu swojego sarkazmu. Westchnęła. - Obawiam się, że nadmiar może być równie uciążliwy jak niedobór. To miło z jej strony, że przyszła zobaczyć, jak się czujesz.

Sabrina zaśmiała się głośno.

- Sam, kochanie. Nigdy nie przypuszczałam, że jesteś tak naiwna. - Spojrzała na zaskoczoną twarz siostry i kontynuowała: - Lesley nie przyszła zobaczyć mnie. Przyszła przyjrzeć się tobie.

- Mnie? - Uniosła brwi ze zdziwienia. - Ale po co? Nie sądzę, żeby zwykła nauczycielka gimnastyki z Filadelfii mogła interesować Lesley Marshall.

- Każda nauczycielka, jeśli przykuwa ona uwagę Jake'a Tannera w takim stopniu jak ty, interesuje Lesley. Jake nie zmieniłby swoich planów, aby pokazać komukolwiek innemu swoje ranczo. Rozumiesz?

Samanta zarumieniła się.

- Myślę, że panna Marshall może czuć się uspokojona, jeśli dobrze mi się przyjrzała. - Wskazała na swoją koszulkę i dzinsy. - W moim wyglądzie trudno chyba dostrzec jakiegokolwiek zagrożenie dla niej.

- Nie doceniasz się, Sam.

- Nie ma w tym nic z fałszywej skromności. Jeśli mężczyzna zasmakuje jedwabiu i szampana, to bawełna i piwo nie będą dla niego konkurencyjne. A ja jestem w tym drugim typie - mruknęła. Zamyśliła się. - Nawet gdybym bardzo chciała, nie mogłabym być kimś zupełnie innym.

Następnego dnia Samanta kontynuowała malowanie. Tym razem przeszkodził jej bardziej oczekiwany gość. Annie Holloway przyjechała, jak zawsze promiennie uśmiechnięta. Przywiozła ze sobą ciasto czekoladowe.

- Witaj. - Samanta otworzyła drzwi i zaprosiła ją do środka. - Miło znów cię widzieć. Zwłaszcza że niesiesz pyszności.

- Nigdy nie przychodzę z pustymi rękami - oznajmiła Annie, wręczając Samancie pakunek. - Dan zawsze ma apetyt na ciasto czekoladowe.

- Ja też - powiedziała Samanta, patrząc łakomie na ciasto. - Dana jeszcze nie ma, ale ja właśnie miałam przygotować kawę. Czy myślisz, że możemy skosztować trochę bez niego?

- Dobry pomysł. - Annie machnęła pulchną dłońią i usadowiła się na krześle. - Myślę, że nic się nie stanie, jeśli zjemy teraz po kawałku.

- Sabrina zdrzemnęła się - wyjaśniła Samanta, sta-

wiając na stoliku filiżanki z gorącą kawą. - Lekarz kazał jej dużo leżeć, ale ona trochę na to narzeka. Po cichu, oczywiście.

- Ty o nią dbasz. - Annie pokiwała głową i wyspała sobie do kawy dwie kopiaste łyżeczki cukru. - Dan mówi, że Sabrina jest teraz spragniona towarzystwa.

- O tak. Znajomi ciągle do niej wpadają. A... - Samanta dodała śmietanki do swojej kawy - ...wczoraj była tu Lesley Marshall.

- Właśnie zastanawiałam się, ile czasu Lesley będzie się powstrzymywała, by tu przyjść i cię zobaczyć.

- Mówisz jak Sabrina. - Potrząsnęła głową i wypita łyk kawy. - Nie wiem, dlaczego Lesley Marshall miałaby mnie oglądać.

- Spokojnie. Lesley jest odrobinę zazdrosna, to wszystko. Chciałaby skusić Jake'a swoim majątkiem. Nie dotarło do niej jeszcze, że Jake sam się utrzymuje i nie uda jej się go kupić za pieniądze ojca. Kiedy mój Jake upatrzy sobie kobietę, to on wybierze odpowiedni czas i miejsce. Zawsze był niezależnym łobuziakiem. Miał ledwie dwadzieścia lat, kiedy stracił swoich starszków. - Samanta spojrzała w brązowe oczy Annie. - To nie był dla niego łatwy czas. Rodzice Jake'a byli ze sobą bardzo związani. Byli parą wiecznie się drocząca i bardzo kochająca. Przypominasz mi trochę jego mamę, z czasów jej młodości. - Annie uśmiechnęła się i przechyliła głowę. Samanta słuchała w milczeniu. - Była czasem uparta jak osioł, ale nadal za nią tęsknię, choć minęło już ponad dziesięć lat.

- To musiało być dla Jake'a bardzo ciężkie przeży-

cie. Stracił rodziców i przejął odpowiedzialność za całe ranczo, a był jeszcze taki młody - zastanowiła się Samanta.

- To wyglądało tak, jakby w ciągu jednej nocy zmienił się z chłopca w mężczyznę. Był dopiero po liceum. Jeszcze zielony. Oczywiście siedział w siodle niemal od urodzenia. Czego nie nauczył się na temat zarządzania ranczem od ojca i w tym wymyślnym liceum, nauczył się w praktyce. Wziął się do roboty z pełnym zaangażowaniem. Nie ma człowieka wśród jego pracowników, który nie skoczyłby w ogień, gdyby Jake go o to poprosił. Może cię zmylić swoim pozornym luzem, ale nikt go nie pokona. Zarządza swoim ranczem jak swoim życiem, a Lesley prędzej czy później zorientuje się, że niełatwo nim sterować.

- A' może raczej odwrotnie - zasugerowała Samanta.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bowiem w kuchennych drzwiach pojawił się mężczyzna, o którym rozmawiały. Wszedł do środka, ze swoim zwykłym przyjacielskim uśmiechem.

- Witam panią. - Zdjął swojego zniszczonego stetsona i przyjrzał się Samancie. - Malowałaś?

- To chyba oczywiste - odpowiedziała oschle.

- Ładny kolor. - Nalał sobie filiżankę kawy. - Pokroisz ciasto?

- Jake'u Tannerze - krzyknęła zde gustowana Annie. - Powinieneś się wstydzić, że podjadasz Danowi jego ciasto, kiedy w domu masz równie dobre.

- Cudze zawsze smakuje lepiej, Annie. - Zdjął płaszcz, powiesił obok kapelusza i uśmiechnął się za-

wadiacko. - I tak nic nie straci. Przecież przywiozłem tutaj ciebie i ciasto. Chyba nie pożałujecie mi jednego kawałka?

- Nie marnuj dla mnie swojego kusicielskiego spojżenia, mały diable. - Annie udawała oburzenie. - Nie jestem jedną z twoich klaczy.

Pojawienie się Jake'a skutecznie zakłóciło spokój umysłu Samanty. Posiedziawszy z gośćmi przez grzeczność jakiś czas, przeprosiła Annie i Jake'a i wróciła do swojej pracy w pokoju dzieciennym.

Talent plastyczny Samanty zdecydowanie skłaniał się ku impresjonizmowi. Podłoga, osłonięta folią, była pochlapana i upstrzona farbą, ale ściany nabrały życia dzięki radosnym, jasnym barwom. Dwie ściany były żółte, a dwie białe. Każda z nich miała akcenty w kontrastującym kolorze. Na jednej ze ścian, pozbawionej drzwi i okien, Samanta zaczęła malować szeroką tęczę, starannie mieszając kolory od niebieskiego do fioleto i zieleni.

Mijały godziny. Była tak skoncentrowana na swym zajęciu, że zapomniała o stresach związanych z Jakiem. W pewnym momencie przerwała pracę i przysiadła na drabinie, przyglądając się efektom swej pracy.

- Cóż za piękny widok.

Samanta aż podskoczyła. Upuściła pędzel, który upadł na ziemię z hurkotem. Zaskoczona spadłaby z pewnością, gdyby Jake nie chwycił jej w pól.

- Łatwo cię przestraszyć - powiedział Jake, zabierając jej z ręki upaprane farbami wiaderko.

- Nie powinieneś mnie tak zaskakiwać - poskarżyła się. - Mogłam sobie skrócić kark. - Wytarła ręce w dżinsy. - Gdzie jest Annie?

- Z twoją siostrą. Sabrina chciała pokazać jej jakieś rzeczy, które przygotowała dla dziecka. - Postawił wiaderko na podłodze i wyprostował się. - Sądzę, że nie potrzebują mojego towarzystwa.

- Z pewnością nie potrzebują. A ja muszę dokończyć malowanie. Przez ciebie upuściłam pędzel. - Spojrzała w dół, ale Jake nadal jej się przyglądał.

- Podoba mi się ten niebieski. Zwłaszcza ten ślad na twoim policzku - powiedział.

- Gdybyś potrzymał mi te rzeczy, mogłabym szybciej skończyć.

- Zielony też jest ładny - zagadnął i przejechał palcem po długiej plamie na jej udzie. - Liceum Wilsona?
- Zniżył wzrok, żeby odczytać napis na jej koszulce.
- To tam się uczyłaś?

- Tak. - Poruszyła się, czując się niezręcznie, gdyż napis znajdował się na wysokości jej piersi. - Czy zamierzasz mi pomóc i podasz narzędzia?

- Jakie masz plany na wieczór? - zapytał, ignorując jej prośbę. Wpatrzyła się w niego kompletnie zaskoczona nieoczekiwanym pytaniem.

- Ja... mam masę spraw do załatwienia. - Próbowała szybko wymyślić coś pilnego, co mogłaby rzeczywiście wykonać.

- Masę spraw? - dopytywał się. Uśmiechnął się przekornie, a palcem gładził jej krągłe piersi.

- Tak, mnóstwo różnych spraw - odparła. - Będę

bardzo zajęta, a teraz naprawdę muszę skończyć malować ten pokój.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- W takim razie chodź i pocałuj mnie na do widzenia. Muszę wracać do pracy.

- Nie pocałuję cię... - zaczęła. Słowa zamarzyły jej na ustach, kiedy Jake chwycił ją wpół. Automatycznie objęła go rękami. Wsunął ręce pod jej koszulkę, pieszcząc gładką skórę. Przyciągnął ją bliżej. Delikatnie gładził jej jędrne, wrażliwe piersi, lekko zaokrąglone biodra, szczupłe uda.

Za każdym razem, za każdym razem, powtórzyła w myślach. Za każdym razem, kiedy mnie całuje, zapadam się głębiej. Pewnego dnia nie znajdę drogi powrotnej.

Przygryzał płatek jej ucha i muskał jej szyję. Szukał nowych wrażliwych miejsc i znajdował je. I znów całował usta Samanty. Pozostawała bezwolna w jego silnych ramionach, z których nie mogła się wydostać unoszona falą pożądania. Wśród pocałunków ponowił pytanie.

- To jak z dzisiaj wieczorem?

- Słucham? - spytała niewyraźnie, gdyż jego język muskał jej wargi.

- Chcę się z tobą dzisiaj zobaczyć.

Wracając do świadomości, Samanta odepchnęła się od jego piersi. Nie potrafiła jednak uwolnić się z jego objęć.

- Nie, nie. Jestem zajęta. Mówiłam ci.

- Owszem, mówiłaś - zaczął z wyrazem niedowierzania w zwężonych oczach. Przerwał mu śmiech Sabriny, dobiegający z holu. Samanta szamotała się w jego objęciach.

- Możesz mnie puścić?
 - Dlaczego? - śmiał się teraz, rozbawiony rumieńcami na jej policzkach.
 - Bo...
 - Oj, nie graj nigdy w pokera, Sam - ostrzegł ją.
 - Przegrałabyś wszystko. Do ostatniej koszuli.
 - Ja... ja...
 - Sabrina ma termin na wrzesień, prawda?
- To niespodziewane pytanie sprawiło, że zamarła w zaskoczeniu.
- Eee, tak. Ona...
 - To daje ci chwilę oddechu, Samanto. - Pochylił się i jeszcze raz mocno ją pocałował. - A później nie oczekuj, że uda ci się tak łatwo uciec.
 - Nie wiem, co...
 - Doskonale wiesz, co mam na myśli - przerwał jej.
 - Mówiłem ci, że będę cię miał. A ja zawsze osiągam to, czego zapragnę.
- Jej oczy rozbłyły.
- Jeśli myślisz, że się z tobą prześpię tylko dlatego, że tak powiedziałaś czy postanowiłaś, to jesteś...
- Nie dokończyła, bo ponownie ją pocałował. Zesztywniała i obiecała sobie, że tym razem nie odwzajemni jego pocałunku. Gdy tylko powzięła to postanowienie, natychmiast je złamała. Oplotła ramionami jego szyję. Ciałem przyłgnęła do niego ulegle, rozchyliła usta w oczekiwaniu zaspokojenia, na które czekała przez ostatni miesiąc. Czegokolwiek pragnął, ona była gotowa mu to dać.
- Pragnę cię. Chyba nie muszę ci nawet mówić, jak bardzo.

Usiłowała odchylić głowę, żeby uspokoić oddech. Wystarczyło jednak, że na nią spojrzął, a już puls jej przyspieszał gwałtownie.

- Porozmawiamy o tym we wrześnie. Chyba że zdecydujesz się przyjść do mnie wcześniej. - Próbowała ponownie pokręcić głową, ale palce trzymające jej kark wzmocniły uścisk, uniemożliwiając ruch. - A jeśli do mnie nie przyjdiesz, to będę czekał, aż po narodzinach dziecka Sabriny będziesz miała mniej na głowie. Jestem cierpliwym facetem, Sam, ale... - przerwał, gdyż Annie i Sabrina weszły do pokoju.

- Proszę, proszę. - Annie pokręciła głową, widząc ich w tej sytuacji. - Widzę, że Jake nie daje ci spokoju. - Spojrzała na Sabrinę znacząco. - To będzie piękny pokój, Sam. - Rozejrzała się dookoła, podziwiając dzieło Samanty i kiwając głową z aprobatą. - Zostaw tę młodą damę w spokoju, Jake, i zawieź mnie do domu. Muszę przygotować obiad.

- Jasne. Już zdążyłem powiedzieć to, po co tu przyszedłem. - Puścił Samantę, spojrzął na nią przenikliwym wzrokiem i wyszedł z pokoju, mruczając przez ramię słowa pożegnania.

Annie także się pożegnała i podążyła za Jakiem.

Kiedy goście opuścili dom, Samanta zaczęła zbierać puszki z farbą i pędzle.

- Sam. - Sabrina podeszła do siostry i położyła jej dłoń na ramieniu. - Nie miałam pojęcia.

- O czym? - Pochyliła się i zatrzasnęła pokrywkę na pojemniku z różową farbą.

- O tym, że zakochałaś się w Jake'u.

Prawda, do której Samanta nie chciała się przyznać sama przed sobą, została teraz otwarcie wypowiedziana. Bo to była prawda. Zakochała się bez pamięci w Jake'u Tannerze!

Wyprostowała się i próbowała znaleźć słowa zaprzeczające faktom.

- Znamy się zbyt dobrze, Sam - Sabrina powiedziała, zanim Samanta znalazła odpowiednie słowa. - Jak silne jest to uczucie?

- Bezgraniczne.

- I co zamierzasz z tym zrobić?

- Co z tym począć? - powtórzyła. - A co ja niby mogę z tym zrobić? Kiedy urodzi się twoje dziecko, wrócę do domu i spróbuję o nim zapomnieć.

- Nie poznaję cię. Nigdy nie poddawałaś się bez walki - powiedziała Sabrina ostro. Samanta uniosła brwi zaskoczona tonem głosu siostry.

- Walczyłabym o coś, co należy do mnie, ale nie mam w zwyczaju ruszać cudzej własności.

- Jake nie jest zaręczony z Lesley Marshall. W każdym razie nie oficjalnie.

- Oficjalne szczegóły nie mają dla mnie znaczenia. Jake chce mieć ze mną romans, ale ożeni się z Lesley Marshall.

- Boisz się konkurować z Lesley? - zapytała Sabrina.

- Nikogo się nie boję;. - Samanta kręciła się po pokoju, zbierając puszki z farbą. Oczy jej płonęły gniewem. Sabrina uśmiechnęła się. - I nie próbuj na mnie swoich psychologicznych sztuczek, Sabrino. Lesley Marshall i ja jesteśmy z zupełnie różnych bajek, ale to

nie znaczy, że się jej boję. Boję się natomiast, że mogę zostać zraniona - głos jej zadrżał i Sabrina otoczyła ją ramionami.

- W porządku, Sam. Nie będziemy teraz o tym mówić. Zostaw te pędzle. Ja je umyję. Wybierz się na przejażdżkę. Wiesz przecież, że chwila samotności to najlepszy lek na twoje smutki.

- Zaczynam myśleć, że znasz mnie nazbyt dobrze - zauważyła Samanta z ironicznym uśmiechem, wycierając ręce w spodnie.

- Znam cię, zgadza się, Samanto. - Pogładziła jej policzek i wygoniła z pokoju. - Nie zawsze jednak wiem, co z tobą począć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Podczas kolejnych miesięcy od ich pierwszego spotkania Samanta poznawała Jake'a coraz lepiej. Zrozumiała, że jeśli on czegoś chce, zrobi wszystko, żeby to osiągnąć. A teraz wiedziała, że chciał właśnie jej.

Kiedy wyjeżdżała na przejażdżkę konną, trzymała się zwykle blisko rancza i tłumaczyła sobie, że nie robi tego ze strachu przed spotkaniem z Jakiem, ale z chęci trzymania się blisko Sabriny. Było w tym ziarno prawdy, bo Sabrina z powodu zaawansowanej ciąży poruszała się z coraz większym trudem. Łatwiej więc było Samancie zaakceptować swoje postępowanie.

Każdego dnia była bardziej zauroczona okolicą. Przyroda Wyomingu budziła się do życia. Na nagich gałęziach pojawiły się zielone listki.

- Musisz tam nosić bliźniaki - zawyrokowała Samanta, patrząc na brzuch siostry.

Siedziały na werandzie i grały się w wiosennym słońcu. Sabrina spojrzała na siostrę.

- Doktor Gates uważa inaczej. Mówi, że po prostu bardzo tyję, i tyle. Chociaż jedna z nas rzeczywiście mogłaby mieć bliźniaki.

- No to musisz się starać, siostrzyczko. Ja raczej wstąpię do związku nauczycielek - starych panien.

- Och nie, ty musisz wyjść za mąż. - Głos Sabriny pełen był nieskrywanego smutku i przejęcia. - Nie możesz pozwolić, żeby na marne poszły te wszystkie lekcje.

To ostatnie zdanie sprawiło, że siostry uśmiechnęły się.

- Jestem śmiertelnie poważna. Pamiętaj, co zawsze powtarzała madame Dubois: „Wy muszą sięgać do gwiazdy”.

- No tak, madame Dubois. - Samanta uśmiechnęła się na wspomnienie ich byłej nauczycielki baletu. - Wiesz oczywiście, że jej akcent był wyuczony i tak naprawdę pochodziła z New Jersey?

- Łamiesz mi serce. Madame zawsze wierzyła, że zrobisz karierę.

- Tak, byłam rzeczywiście dobra. - Samanta westchnęła teatralnie.

- No to zobaczymy teraz kilka twoich sławnych baletowych ćwiczeń, Sam.

- Niedoczekanie twoje...

- Ej no, szorty nie są gorsze od spódniczki. Przyłączę się do ciebie podczas *pas de deux*, choć raczej będzie to *pas de trois*.

. Samanta niechętnie podniosła się z werandy.

- W porządku, mogę zrobić małe przedstawienie.

Sabrina, z udawaną godnością, zaczęła nucić pierwsze takty „Jeziora Łabędziego”. Samanta zaś ugięła nogi w kolanach, przyjmując postawę wyjściową, by po chwili wystrzelić energicznie serią szpagatów w powietrzu, wyskoków i innych baletowych figur. Występ zakończyła zestawem piruetów i dramatycznym upadkiem na trawę.

- Tak właśnie kończysz - powiedziała, kręcąc gło-

wą i próbując złapać równowagę - kiedy nie koncentrujesz się wystarczająco.

- Czy to przedstawienie otwarte dla wszystkich?

Obie gwałtownie skierowały głowy w stronę, skąd dobiegł głos.

- Dan! - zawołała Sabrina. - Nie spodziewałam się, że wrócisz tak wcześnie.

- Spotkałem po drodze Lesley i Jake'a - wyjaśnił Dan, całując delikatnie żonę na powitanie. - Pomyślałem, że tobie i Sam przyda się towarzystwo.

Sabrina przywitała się z gośćmi.

- Siadajcie, proszę, przyniosę zaraz coś chłodnego do picia.

Samanta siedziała wciąż na ziemi i modliła się bezskutecznie, by ta rozstała się i ją pochłonięła.

- Ja to zrobię! - Zerwała się z ziemi, korzystając z możliwości ucieczki. - Nie wstawaj.

- Już wstałam. - Sabrina zniknęła w głębi domu, nim Samanta zdążyła zaproponować.

- Dajesz także lekcje baletu, Samanto? - spytała Lesley, badawczo przyglądając się sfatygowanemu strojowi Samanty.

- Nie, nie. Skądże - wydukała Samanta w odpowiedzi, czując się fatalnie przy eleganckiej i zadbanej Lesley.

- Według mnie to było bardzo ładne - nieświadomie zawstydził ją Dan.

- Cóż, Samanta lubi zaskakiwać - dodał Jake.

Samanta dopiero teraz zwróciła baczniejszą uwagę na Jake'a. Wyglądał zniewalająco męsko. Podwinięte rękawy dżinsowej koszuli odsłaniały silne, opalone ra-

miona. Dżinsy trzymające się tylko na biodrach podkreślały szczupłość jego sylwetki. Starła się skoncentrować wzrok na jakimś innym punkcie niż jego oczy, żeby nie widzieć jego uśmiešku, który już pojawiał się na jego twarzy.

- Tak - odpowiedziała powoli. - Jestem po prostu pełna niespodzianek.

- Jest coś, czego nie umiesz, Sam?

- Niewiele rzeczy - chłodno odparła Samanta.

- Jest w tobie tyle energii - ciągnęła Lesley, wspierając się na ramieniu Jake'a. - Musisz być nieprawdopodobnie silna i bardzo umięśniona.

Przez krótki moment Samanta pomyślała, czy nie uciec. Już otwierała usta, żeby jakoś się usprawiedliwić, kiedy Dan udaremnił jej plany.

- Usiądź, Sam. Chcę coś z tobą i Sabriną omówić.

Samanta usiadła na schodkach werandy.

- Czy myślisz, że Sabrinie wystarczy sił na wzięcie udziału w małym przyjęciu?

Samanta spojrzała na niego, próbując zebrać myśli.

- Przyjęcie? - powtórzyła. - Tak, myślę, że tak. Doktor Gates mówi, że z Sabriną jest wszystko w porządku. Ale przecież sam możesz ją zapytać. A ty masz ochotę na przyjęcie?

- Myślałem o jednym - wyjaśnił z uśmiechem. - Są takie dwie bliźniaczki, które niedługo będą obchodziły urodziny. To niezły pretekst do zorganizowania imprezy.

- Och, nasze urodziny - zawiesiła głos Samanta.

Nadciągająca nieuchronnie rocznica zasmuciła ją.

- Czy ktoś tu mówił o przyjęciu? - Sabrina pojawiła się w drzwiach ze szklankami mrożonej herbaty.

Samanta pociągnęła łyk zimnego napoju i popatrzyła na siostrę, niecierpliwie oczekującą na odpowiedź.

- Przyjęcie urodzinowe? Sam! - Oczy Sabriny błyszczały z podniecenia. - Kiedy ostatnio świętowałyśmy razem nasze urodziny?

- Kiedy miałyśmy dwanaście lat, a Billy Darcy zwymiotował na dywan mamy. - Oparła się o poręcz i mimowolnie spojrzała na Jake'a.

- No to już najwyższa pora na nową zabawę - podsumował Dan. - Co sądzisz, Sam? To wymagałoby od ciebie więcej wysiłku.

- Tak... - Samanta oderwała wzrok od twarzy Jake'a i z trudem próbowała zrozumieć, o czym mówi Dan. - Słucham? A, nie, nie, to żaden kłopot. Chętnie się tym zajmę. Ile osób zamierzasz zaprosić?

- Tylko przyjaciół i sąsiadów. Myślę, że około trzydziestu, czterdziestu osób. Jak ty uważasz, Lesley?

- Chyba tak, jeśli rzeczywiście chcesz, żeby to było małe przyjęcie - zgodziła się Lesley.

Samanta wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia. Ci ludzie stosowali widocznie inne kryteria i zupełnie inaczej niż ona pojmowali znaczenie słowa „małe”.

- Chodź, Lesley, zobaczysz, czy ta duża waza, którą mam, przyda się do czegoś. - Sabrina wstała, przytrzymując się Dana. - Pomożesz mi ją zdjąć z półki, Dan?

Posłała siostrze uśmiech z miną niewiniątka, po czym cała trójka weszła do domu, zostawiając Samantę i Jake'a samych na werandzie.

- Jak idzie malowanie? - Jake przeciągnął się.

- Malowanie? A tak, pokój dziecinny. Już skończone.

Samanta zmarszczyła brwi niezadowolona, że Jake o to pyta. Pomyślała, że po raz kolejny znalazła się w ośmieszającej ją sytuacji. Albo śpi wśród pniaków, albo jest umazana farbą, albo skacze po trawniku jak jakaś szalona baletnica. Masz klasę, Samanto, zadrwiła z siebie w myślach.

- Co byś chciała dostać na urodziny, Sam? - Trącił ją czubkiem buta. Zmierzyła go niechętnym wzrokiem.

Zdmuchnęła kosmyk włosów z twarzy i wzruszyła ramionami.

- Futra, diamenty...

- Nie jesteś typem kobiety, która chce futer - odrzekł, zapalając cygaro i wypuszczając kłęby dymu w powietrze. - Zamartwiałybyś się tymi malutkimi norkami, z których uszyto futro. A diamenty nie pasują do ciebie.

- Pewnie bardziej pasują do kwarcu, tak? - zirytowała się.

- Nie, myślałem raczej o szafirach - chwycił jej rękę - które podkreślałyby kolor twoich oczu. Albo o rubinach, które harmonizowałyby z twoim temperamentem.

- Będę pamiętała, żeby wpisać je na listę prezentów. A teraz, jeśli pozwolisz... - Spojrzała wymownie na jego rękę, którą ją trzymał. - Muszę nakarmić kota.
- Wyciągnęła dłoń w stronę Shylocka, który wylegiwał się na drugim końcu werandy.

; - Nie wygląda na specjalnie głodnego.

- Udaje martwego - mruknęła. - Chodź, Shylock, będzie jedzenie.

Kot powoli otworzył swoje bursztynowe ślepia i zamrugał. Ku uciesze Samanty, wstał i podreptał w jej kierunku. Jednak kiedy był już przy niej, ominął swoją panią i wskoczył Jake'owi na kolana, mrucząc z zadowolenia.

- Cóż, proszę pani. On ani trochę nie wygląda na głodnego kota.

Samanta rzuciła gniewnym okiem na Shylocka, po czym odwróciła się i zniknęła w domu.

W dzień urodzin bliźniaczek grzały przyjemnie promienie słońca. Samanta przytargała do kuchni wielką paczkę. Zrzuciła ciężar na stół, przy którym jej siostra raczyła się filiżanką porannej kawy. Przy okazji szturchnęła kota nogą. Nie wybaczyła mu jeszcze jego zdradzieckiej postawy sprzed kilku dni.

- Przed chwilą ją dostarczono. - Wskazała na przesyłkę.

- Otwórz ją, Sam. Dan nie chciał mi dać prezentu wcześniej, a przeszukałam już chyba wszystkie zakamarki w domu.

- Idę o zakład, że znajdziemy w środku sześć książek o dzieciach dla ciebie i tyleż dla mnie na temat dobrego zachowania.

- Prezent to prezent - oświadczyła Sabrina, zrywając pospiesznie papier z opakowania.

- O, jest i liścik. - Samanta rozprostowała kartkę papieru i zaczęła czytać:

„Do Samanty i Sabriny

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin i dużo miłości dla Was obu.

Sabrino, mam nadzieję, że dbasz o siebie. Jak dobrze wiesz, odpowiednia dieta i wypoczynek są najważniejsze. Jestem pewna, że obecność Samanty w tych ostatnich tygodniach ciąży jest dla ciebie dużym ułatwieniem. Samanto, dbaj o swoją siostrę i pilnuj, żeby była ostrożna. Mam jednak nadzieję, że nie zaniedbujesz przez to swojego życia towarzyskiego. To jest mój obowiązek, jako twojej matki, by ci przypomnieć, że dawno już przekroczyłaś idealny wiek do zamażpójścia. Wspólnie z ojcem nie możemy się doczekać, żeby zobaczyć w najbliższych tygodniach ciebie i naszego pierwszego wnuka. Będziemy w Wyomingu w pierwszej połowie września, o ile ojcu uda się dotrzymać wszystkich terminów.

Ściskamy,
Mama i Tata".

- Jest i postscriptum do ciebie, Sabrino.

„Sabrino, czy Daniel nie zna jakiegoś odpowiedniego faceta dla twojej siostry?"

Samanta złożyła list, westchnęła głęboko i odłożyła go na stół.

- Ona się nigdy nie zmieni.

Sięgnęła ponownie do paczki i wyjęła małe pudełko z wypisanym imieniem Sabriny. Wręczyła je siostrze.

- Idealny wiek do wyjścia za mąż - mruknęła i pokręciła głową.

- Zglądałaś tu wcześniej? - zapytała Sabrina oskarżycielskim tonem, wyjmując stopy poradników na temat niemowląt i małych dzieci.

- Nie - zaprzeczyła z tajemniczym uśmieszkiem. - Po prostu znam mamę.

Wyciągnęła swój prezent i rozerwała opakowanie.

- Dobry Boże. - Upuściła pudełko na stół i wyciągnęła kusą, czarną, koronkową bieliznę.

- Myślałam, że znam mamę. - Obie siostry wybuchnęły śmiechem. - Musi być mocno zdesperowana - dodała Samanta, przykładając do siebie bieliznę.

- Cóż za piękny drobiazg - powiedział Jake, kiedy wraz z Danem weszli do kuchni. - Ale jeszcze piękniej wyglądałby na kimś.

Samanta schowała ubranie za siebie i spłonęła rumieńcem.

- To prezent od rodziców - wyjaśniła Sabrina, wskazując na swój stos książek.

- Bardzo odpowiedni - uśmiechnął się Dan, patrząc na okładki.

- Nie wydaje mi się, że Samanta może powiedzieć to samo o swoim prezencie - zaśmiał się Jake. Samanta poczuła, że rumieniec na jej policzkach jest jeszcze silniejszy. - Może obejrzymy go ponownie.

- Nie drocz się z nią, Jake - powiedziała Sabrina, po czym zwróciła się do męża: - Mama pisze, że będą tu w pierwszej połowie września.

- Odłóż to. - Samanta schowała bieliznę do pudełka i próbowała ukryć ją pod stosem książek.

- Zostaw to na później. - Dan wziął ją za rękę i wypchnął za drzwi. - Chcę, żebyś na chwilę wyszła.

Nie opierała się. Wyszli razem. Dan zwolnił i pozwolił, by jego żona ich dogoniła. Szli teraz powoli w kie-

runku budynków gospodarczych. Rozmawiali o zbliżającym się przyjęciu, aż doszli do płotu otaczającego wybieg.

- Wszystkiego najlepszego, Sam. - Sabrina ucałowała siostrę.

- Och! - Samanta tylko tyle była w stanie odpowiedzieć na widok pięknej klaczy.

- Jest z dobrej linii - wyjaśnił Dan. Objął żonę ramieniem i dodał: - Pochodzi z hodowli na ranczu Double T, a nie ma lepszego w Wyomingu.

- Ale ja... - Słowa utknęły jej w gardle, więc przeknęła ślinę i spróbowała jeszcze raz.

- Co dałabyś komuś, kto pakuje się i bez słowa na sześć miesięcy rezygnuje z własnego życia, nie prosząc o nic w zamian? - Dan objął Samantę wolnym ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Wymyśliliśmy, że jeśli będziesz upierać się i wrócisz na Wschód, to będziemy się nią tu opiekować w twoim zastępstwie. Zawsze będziesz mogła nas odwiedzić i na niej pojeździć.

- Nie wiem, jak wam dziękować.

- Więc nie dziękuj - zaproponował Dan. - Wsiadaj na konia i przejedź się.

- Teraz?

- Teraz jest tak samo dobre jak później.

Samanta nie potrzebowała długich namów. Przeskoczyła płot i mrużąc przyjaźnie, podeszła do konia, żeby go pogłaskać.

- No to może uda nam się ją przekonać, żeby została - skomentował Dan, widząc entuzjazm Samanty, która

właśnie dosiadła konia i krążyła na nim po padoku.

- Porozmawiam z Jakiem.

Sabrina potrząsnęła głową.

- Sam byłaby wściekła, gdybyśmy ingerowali w jakikolwiek sposób. Raz-dwa wróciłaby do Filadelfii, zanim zdążylibyśmy cokolwiek wytłumaczyć. Od teraz trzymajmy się lepiej od tego z daleka - ściszyła głos, kiedy Samanta przejeżdżała koło nich.

- Jest piękna - zawołała, mijając ich. - Nie wiem, jak zdołam się z nią rozstać.

Sabrina i Dan spojrzeli na siebie dyskretnie i uśmiechnęli się nieznacznie. Oboje pomyśleli, że być może nie będzie potrzeby, żeby Samanta wyjeżdżała.

- Chodź, siostrzyczko - powiedział Dan. - Jeśli oczywiście jesteście w stanie rozstać się teraz ze swoim przyjacielem. Ja w każdym razie z przyjemnością napiłbym się kawy.

Kiedy cała trójka dochodziła do domu, w drzwiach pojawił się Jake.

- Właśnie dostarczono przesyłkę. Czekaj w salonie.

- Och. - Dan wyglądał podejrzanie niewinnie. - Żono, lepiej chodźmy zobaczyć, co to może być.

- Czy to fortepian? - Samanta spytała Jake'a, kiedy Dan z Sabriną weszli do środka.

- Sądząc po rozmiarach przesyłki, to odpowiedź brzmi twierdząco. Chodź teraz ze mną do ciężarówki - powiedział władczym tonem Jake i chwycił jej rękę, zanim zdążyła zaprotestować.

- Ale Jake, ja naprawdę mam teraz sporo rzeczy do zrobienia.

- Tak, wiem. Jesteś przecież niezastąpiona. - Zatrzymał się przy samochodzie i sięgnął do szoferki po paczuszkę. - Ale wygląda na to, że przyszedł czas wręczania prezentów. I pomyślałem, że właśnie w tej chwili dam ci to.

- Nie musisz...

- Samanto. - Cały czas cedził słowa przez zęby, ale w jego oczach pojawiła się iskierka rozdrażnienia. - Nigdy nie robię niczego, czego nie chcę. - Podał jej prezent. - Otwórz.

Wyciągnęła figurkę z opakowania i przyglądała się jej w niemym zachwycie. Alabaster, z którego została zrobiona, był gładki i chłodny. Figurka przedstawiała jeźdźca na koniu w galopie. Artysta wspaniale oddał pełną gracji sylwetkę pędzącego konia. Niepewnie przesunęła palcem po delikatnych kształtach postaci.

- Wygląda zupełnie jak ja. - Spojrzała na Jake'a.

- Powinna - odparł spokojnie. - Miała przedstawiać ciebie.

- Ale jak? - Na jej twarzy zachwyt mieszał się z zakłopotaniem.

- Znam człowieka, który robi takie rzeczy. Opisałem mu ciebie.

Drugi już raz tego samego dnia Samanta nie potrafiła znaleźć słów, żeby odpowiedzieć.

- Dlaczego? - Pytanie samo wyrwało się jej z ust.

Powoli uśmiech rozświetlił jego twarz. Przesunął kapelusz na tył głowy.

- Bo pasuje do ciebie bardziej niż futra i diamenty.

- Dziękuję- wyszeptała z trudem, patrząc mu w oczy.

Kiwnął głową. Jego twarz przybrała uroczysty wyraz. Wziął pudełko z jej rąk i odstawił na dach ciężarówki.

- Myślę, że urodzinowy pocałunek jest obowiązkowy.

Przełykając ślinę, zrobiła krok do tyłu, ale przytrzymała ją zdecydowanie. Wystawiła więc policzek, ale Jake tylko się roześmiał.

- Sam! Jesteś niemożliwa.

Ich usta spotkały się. Jego dłoń zsunęła się z ramienia na jej biodro. Samanta poddała się jego pieścizdom. Tak długo jak ją trzymał, całował i pieścił, czuła, że ma nad nią pełną władzę.

W końcu odsunął się i położył ręce na jej ramionach. Oparła się na jego piersi, żeby nie upaść.

- Wszystkiego najlepszego, Sam.

- Dziękuję - wydusiła z siebie, wciąż nie mogąc złapać powietrza po jego uścisku.

Oddał jej pudełko, po czym wsiadł do ciężarówki.

- Do zobaczenia jutro wieczorem. - Ukłonił się i włączył silnik samochodu.

Ciężarówka potoczyła się w dół drogi, zostawiając Samantę wpatrującą się w znikające światła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gwar przyjęcia wypełniał dom. Śmiechy, odgłosy rozmów i muzyka mieszały się i wypływały w noc przez otwarte okna.

Tego wieczoru bliźniaczki wyraźnie różniły się wyglądem. Sabrina miała na sobie jasnoniebieską luźną suknię, ukrywającą jej mocno zaokrąglone kształty. Jej włosy błyszczały nad rumianymi policzkami jak aureola. Samanta nosiła obcisłą satynową sukienkę z głębokim dekoltem, przepasaną czarnym paskiem. Niezwiązane włosy opadały miękko na ramiona.

Samanta przesuwiała się wolno wśród gości, wypatrując wysokiego, szczupłego mężczyzny. Z rosnącą rozpaczą i dręczącą ją zazdrością zorientowała się, że na przyjęciu nie pojawiła się także pewna wysmukła, ciemnowłosa kobieta.

Właśnie stała w rogu pokoju, zabawiana rozmową przez pewnego nudnego kowboja, kiedy po przeciwnej stronie pokoju zobaczyła mężczyznę, na którego czekała. Stał w towarzystwie dwóch innych mężczyzn, których nie rozpoznawała. Obok niego stała zaś Lesley Marshall, jak zawsze elegancka, w sukni w kolorze ecru. Swą delikatną dłoń kładła od czasu do czasu na ramieniu Jake'a, podkreślając tym samym ich zażyłość.

Samantę ogarnęła wściekłość. Nieoczekiwanie, z czarującym uśmiechem, odwróciła się do swego rozmówcy. Zająknął się i zaniemówił. Wsunęła rękę pod jego ramię i spojrzała na niego uwodzicielsko.

- Czołem, Tim. - Jake pojawił się jak spod ziemi i położył rękę na ramieniu chłopaka. - Chciałbym na chwilę porwać tę młodą damę. - Przerwał i uśmiechnął się do nachmurzonej Samanty. - Jest jeszcze parę osób, których nie poznała.

Nie czekając na odpowiedź, chwycił jej dłoń i pociągnął w tłum gości.

- Tim nie dojdzie do siebie przez najbliższe tygodnie - wyszeptał jej do ucha. - Za uwodzenie wrażliwych młodych chłopców powinno się kobietę wygnąć z miasta - ostrzegł.

- Nie musisz mnie ciągnąć.

- Rozpoznaję upartego osła, gdy tylko go zobaczę - odparł, nie zadając sobie specjalnego trudu, żeby ściszyć głos.

Dotknięta do żywego Samanta zamierzała powiedzieć mu, co o tyra myśli, ale w tym momencie Jake przedstawił jej dwóch mężczyzn, którzy dotrzymywali towarzystwa Lesley.

- Sam, pozwól, że ci przedstawię pana George'a Marshalla, ojca Lesley. - Samanta wyciągnęła dłoń, którą Marshall serdecznie uściśnął. - A to Jim Bailey - kontynuował Jake, wskazując głową na drugiego mężczyznę.

- Jim pracuje z bydlętem tylko na papierze. Jest prawnikiem.

- Mój Boże, cóż za piękna dziewczyna! - wykrzyknął George Marshall. Puścił oczko do Jake'a i poklepał po ramieniu córkę.

- Ty zawsze potrafisz wypatrzeć najlepszą sztukę, co, Jake?

Jake wsunął ręce w kieszenie.

- Robię, co w mojej mocy. Ale wypatrzeć to jedno, a zdobyć to drugie.

- A teraz, młoda damo - kontynuował George. - Czy to prawda, co mówiła Les, że jesteś nauczycielką gimnastyki?

- Tak, to prawda, panie Marshall.

- Mów mi George - poprosił. - Powiedz mi, dlaczego taka młoda, śliczna istota jak ty, nie ma męża, rodziny i stabilnej sytuacji, tylko biega po sali gimnastycznej?

Jake uśmiechnął się. Samanta nerwowo poprawiała włosy, ale zanim pomyślała nad odpowiedzią, George roześmiał się głośno.

- Podoba mi się ta dziewczyna - oświadczył. - Wygląda na to, że ma charakterek. Przyjedź kiedyś na nasze ranczo. Kiedy tylko będziesz miała ochotę.

Wbrew oporom z powodu nieco nachalnej serdeczności i demonstracyjnej gościnności, Samanta poczuła do niego sympatię.

- Proszę mi teraz wybaczyć, ale muszę... muszę przynieść tacę z kuchni. - Obdarzyła wszystkich uśmiechem i odeszła, mieszając się z tłumem.

Kiedy dotarła do kuchni, wyciągnęła tacę z lodówki, żeby uwiarygodnić swoją wymówkę. Miała szczęście, gdyż Jake dogonił ją chwilę później.

- George jest dobrym człowiekiem. I nie myli się co do kobiet. - Uśmiechnął się i oparł o drzwi, obserwując jej ruchy.

- To twoja opinia - odrzekła oschle, ciskając się po kuchni i próbując zignorować obecność Jake'a.

- Usiądź na minutę, Sam.

Spojrzała na niego nieufnie, po czym uniosła tacę niczym tarczę.

- Nie, muszę wracać.

- Proszę.

Opuściła tacę i postawiła ją na stole, po czym usiadła.,

- Pojechałem pewnego dnia do Jacka Abbota, dyrektora szkoły.

- I?

- Powiedział mi, że nauczyciel od wychowania fizycznego dziewcząt w przyszłym semestrze nie wraca.

- Jake odchylił się na krześle i przyglądał Samancie.

- Powiedział, że chce ci zaoferować pracę.

- Och!

- Bardzo cię potrzebuje. Powiedziałem mu, że będę się z tobą widział i że wspomnę ci o tym. Oczywiście zadzwoni do ciebie, żeby złożyć ci tę ofertę oficjalnie.

To takie proste, pomyślała Samanta. To mogłoby być takie proste, gdybym nie kochała tego faceta. Mogłabym zostać tu, gdzie chciałabym być, i podjąć pracę tu, gdzie chciałabym pracować. Ale teraz będę musiała odmówić. Będę musiała stąd wyjechać.

- Doceniam, że mi to mówisz i doceniam, że pan Abbot mi to proponuje, ale...

- Nie doceniaj tego, Samanto. Przemyśl to.

- Nawet nie wiesz, o co mnie prosisz.

Wstał i wsunął ręce głęboko w kieszenie.

- Proszę cię tylko, żebyś to przemyślała. Podoba ci się tu. Masz tu przyjaciół. Lubisz być blisko siostry. Miałabyś nadal satysfakcję z robienia tego, co najbardziej ci odpowiada. Naprawdę jeszcze się wahasz?

- O tak. I to bardzo. Jake, nie chcę się z tobą kłócić. Są pewne sprawy, które muszę zrobić. Podobnie jak ty masz sprawy, którymi musisz się zająć.

- W porządku - przytaknął. Po chwili powtórzył wolno, jakby podejmował decyzję. - W porządku, faktycznie są sprawy, którymi muszę się zająć. - Podeszedł do niej i chwycił ją za podbródek.

Jego dłonie zniemacka zsunęły się po jej ciele, otoczyły ją w talii i przyciągnęły. Pochylił się, żeby pocałować jej policzek.

- Pojedź ze mną do domu, Samanto. Możemy być tam teraz sami - powiedział niskim, uwodzicielskim głosem. Delikatnymi palcami gładził jej plecy.

- Nie, proszę. Nie rób tego. - Odwróciła od niego twarz.

- Chcę się z tobą kochać. Chcę czuć twą skórę pod moimi palcami. Pragnę ciebie. Chcę słyszeć twój oddech, kiedy będę cię dotykał.

- Jake, proszę. - Oparła głowę na jego piersi. - To nie w porządku, że mówisz mi to tutaj, w taki sposób.

- Więc jedź ze mną do domu.

- Nie, nie mogę. - Pokręciła głową, nie podnosząc jej z jego piersi. - Nie pojedę.

- W porządku, Samanto. - Uniósł jej głowę, otacza-

jąc jej twarz dłońmi. - Powiedziałem, że dam ci czas do narodzin dziecka Sabriny. Trzymajmy się tego. Nie będziemy się dzisiaj kłócić. Powiedzmy, że będzie to zawieszenie broni z okazji twoich urodzin. Zgoda?

Skradł jej jednego szybkiego całusa i odwrócił się, żeby zabrać tacę.

- A potem zrobimy to, co oboje musimy zrobić. Kiedy nadejdzie właściwa pora.

Wyszedł, zostawiając zamyśloną Samantę samą. Po chwili wróciła do gości, przechodząc od jednej grupki do drugiej, ale jej myśli nadal koncentrowały się tylko na Jake'u.

Dlaczego był tak zainteresowany moimi decyzjami zawodowymi? - zastanawiała się. Dlaczego chciał, żebym przyjęła ofertę pracy w Wyomingu? Może się o mnie troszczy? - pozwoliła sobie na iskierkę nieśmiałej nadziei.

Rozejrzała się po pokoju, szukając Jake'a. Wreszcie go spostrzegła. Tańczył z Lesley. Błyszczący kosmyk jej kruczoczarnych włosów ocierał się o jego policzek. Bładość jej skóry kontrastowała z jego opalenizną. Samanta skrzywiła się, gdy zobaczyła, jak Jake odchylił głowę i śmiał się głośno z czegoś, co Lesley wyszeptwała mu do ucha.

Troszczy się o mnie? - powtórzyła w myślach. Doróżnij, Samanto. Troska i pożądanie nie zawsze idą w parze. Za kilka tygodni, pocieszyła się, nie będę już narażona na ten ciągły ból. A kiedy on ustąpi, będę mogła ponownie odwiedzić Sabrinę. Jake będzie prawdopodobnie zbyt zajęty spędzaniem czasu ze swoją

żoną, żeby odwiedzić Lazy L. Poczwała, jak ostry ból przeszył jej serce.

Odwróciła się i wpadła na Jima Bailey'a.

- Przepraszam. - Przytrzymał ją za ramiona, żeby nie upadła. - Nie zauważyłem cię.

- Nic się nie stało - odrzekła i uśmiechnęła się. - A poza tym to chyba ja wpadłam na ciebie.

- Cóż, szczęśliwie żadnemu z nas nic się nie stało. - Zobaczyła, jak Jim ominął ją wzrokiem i spojrzał na Jake'a i Lesley. - Pięknie razem wyglądają, prawda?

Samanta poczuła się zakłopotana, wiedząc, że Jim widział, jak wpatrywała się w tańczącą parę. Przytaknęła jednak i wpatrzyła się w swoją pustą szklankę, co nie uszło uwadze Jima.

- Chodź, napełnimy ją.

Chwilę później dołączyli do grupy stojącej wokół fortepianu, na którym grała Sabrina.

- Słyszałam, że jesteś prawnikiem - uśmiechnęła się Samanta do Jima. - Chyba nigdy w życiu nie spotkałam prawnika.

Jim odwzajemnił jej uśmiech.

- A ty jesteś gimnastyczką.

- Już teraz nie. Teraz uczę gimnastyki.

Uniósł szklankę, po czym wypił zawartość.

- Pamiętam cię. Zawsze byłem gorliwym fanem igrzysk. Zawsze też uważałem, że byłaś nieprawdopodobna.

- Miło to słyszeć w niemal dziesięć lat od występu na olimpiadzie.

Stuknął szklanką o jej szklankę.

- Hmm, czy olimpijska gwiazda miałaby ochotę za-
tańczyć?

- Z ogromną przyjemnością.

Rozmowa z Jimem Baileyem sprawiała Samancie dużą przyjemność. W ciągu dwóch tańców dowiedziała się, że Jim chciałby zająć się polityką. Pomyślała, że atrakcyjny wygląd i błyskotliwa inteligencja na pewno mu w tym pomogą.

- Sam. - Sabrina machnęła na nią ręką, kiedy znaleźli się w pobliżu fortepianu. - Twoja kolej.

- W porządku - zgodziła się Samanta i usiadła przy instrumencie.

Grała z wdziękiem i swobodą, przechodząc od utworu do utworu. Czuła się wolna i niezależna niczym w śnie. Nie docierały do niej odgłosy przyjęcia.

Ktoś przysiadł się do niej. Rozpoznała patykowato palce, które przekładały jej nuty i zdenerwowana pomyliła melodię.

- Wygląda na to, że ty i Jim przypadliście sobie do gustu. - Równocześnie z jego głosem do jej uszu dotarł trzask zapalanej zapalniczki.

- To bardzo miły człowiek. Długo go znasz?

- Mniej więcej od czasu, kiedy mieliśmy po osiem lat i zrobiłem mu śliwę pod okiem, a on przywalił mi w zęby.

- Czyli wygląda to na nierozzerwalną, długoletnią przyjaźń.

Jake ponownie przewrócił stronę, zanim sama zdążyła to zrobić.

• - No cóż, od tego czasu trzymamy się razem. - Od-

sunął włosy z jej twarzy na ramiona i Samanta znów omal nie zgubiła melodii granego utworu. - Wygląda na to, że oboje macie bardzo dużo wspólnych tematów do rozmów.

- Jim jest czarujący i rzeczywiście mamy wiele wspólnych zainteresowań.

- Hmm... - Jake drgnął nieznacznie. Przy okazji otarł się o nią udem, przez co znów się pomyliła.

- Świetnie grasz - dodał.

Czy to ironia? - przemknęło jej przez myśl. Spojrzała na niego, ale w jego oczach nie było ani krzty kpiny.

- Co najwyżej nieźle - poprawiła go. - Na ogół trzymam się melodii, ale nie jestem mocna w szczegółach.

- Zauważyłem, że bardzo często sama dyskredytujesz swoją wartość i negujesz swoje umiejętności. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Nieprawda. Po prostu wiem, co robię dobrze, a czego nie.

- Jesteś bardzo surowym krytykiem, ale zupełnie się nie doceniasz.

- Po prostu staram się być uczciwa - zripostowała, kończąc utwór z rozmachem. - Jestem najzwyczajniej w świecie bardzo szczerą osobą.

- Czyżby, Samanto? - spytał miękko.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dni stawały się coraz gorętsze i bardziej duszne. Niebo nabrało niezwykle intensywnego koloru błękitu. Jedynie od czasu do czasu pojawiały się małe obłoczki.

Samanta spędzała na słońcu długie godziny, dzięki czemu jej oliwkowa cera mocno zbrązowieła. W jej włosach pojawiły się złociste refleksy. Dopóki była zajęta, nie dręczyły jej myśli o Jake'u. Cieszyła się długimi letnimi dniami, nie myśląc o jesieni. Sabrina była zmęczona i stawała się coraz bardziej ociężała, więc Samanta starała się pozostawać w pobliżu domu. Trochę czasu dla siebie miała wyłącznie w godzinach porannych. Popołudniami, kiedy upał najbardziej dawał się we znaki, Sabrina przechadzała się wolnym krokiem po domu, a jej ruchy były coraz bardziej niezręczne. Samanta za nic nie zostawiłaby siostry w takim stanie. Zbliżał się termin porodu. Dziecko miało przyjść na świat za dwa tygodnie. Wołała więc pozostać w pobliżu siostry, aby móc w każdej chwili służyć jej pomocą.

Pewnego szczególnie parnego popołudnia obie siedziały w salonie. Sabrina z trudem podniosła się ze swego fotela. Podeszła do okna.

- Sam - powiedziała - zanim Dan wyjechał do mia-

sta, twierdził, że zanosi się na burzę. Chyba miał rację. Spójrz na niebo.

Nim Samanta zdążyła podejść do okna, niebo przeciął błysk. Po chwili usłyszały huk grzmotu i odgłos padającego deszczu.

- Ale leje - zauważyła. - Ale może się trochę ochłodzi. - Spojrzała ze współczuciem na zaokrąglone kształty Sabriny.

Burza przybierała na sile. Deszcz z wielką siłą łomotał o szyby. Gwałtowne błyskawice oświetlały pokój. Siostry zafascynowane patrzyły na potęgę żywiołu. Po pewnym czasie deszcz osłabł, a grzmoty oddaliły się.

Słońce ponownie przebijało się przez chmury.

- To było przerażające - powiedziała Sabrina z westchnieniem.

Samanta odeszła od okna i usiadła w fotelu.

- Pamiętasz, jak chowałaś się kiedyś w łazience ze strachu przed burzą?

- Aż za dobrze - uśmiechnęła się. - A ty zwykle stałaś na ganku, zachwycając się każdym błyskiem. Dopiero mama musiała wciągać cię do domu, bo byłaś kompletnie przemoczona. - Zmęczona wrażeniami Sabriny z trudem podniosła się z fotela. - Idę się zdrzemnąć - oznajmiła. Zatrzymała się na chwilę w drzwiach, przyglądając się siostrze, siedzącej w fotelu z bosymi stopami ułożonymi z wielką gracją na podnóżku. - Kocham cię, Sam - powiedziała.

Samanta uśmiechnęła się z lekkim zakłopotaniem i odprowadziła siostrę wzrokiem do drzwi. Po chwili wyszła na werandę i głęboko odetchnęła świeżym, rześ-

kim, dzięki niedawnej ulewie, powietrzem. Dookoła wszystko błyszczało w kropłach deszczu. Ptaki świergotały nad jej głową. Słyszała miarowe stukanie kropli spadających z okapu i delikatny szum wiatru. Przysiadła na stojącym na tarasie leżaku i niespodziewanie zasnęła.

Nie miała pojęcia, jak długo spała. Z przyjemnego snu obudziło ją dotknięcie czyjeś ręki na ramieniu. Podniosła zaspane oczy i ziewnęła.

- Och, Sabrino. Musiałam zasnąć. Tu jest tak cu downie chłodno.

- Samanto, obawiam się, że dziecko postanowili pojawić się na świecie przed planowanym terminem.

- Co? O Boże! - Samanta zerwała się na równe nogi, zupełnie rozbudzona i przytomna. - Teraz? Dana jeszcze nie ma. Poza tym to jeszcze nie pora. Usiądź. Siadaj! - zażądała.

- Myślę, że przede wszystkim musisz się uspokoić - powiedziała Sabrina.

- Masz rację. To był po prostu szok. Nie spodziewałam się, że to może już nastąpić.

- Ja też nie - Sabrina uśmiechnęła się przeprasząco, a jednocześnie z lekkim rozbawieniem.

- W porządku. Od jak dawna masz skurcze i jak często się powtarzają?

- Dopiero od około godziny.

- W takim razie mamy jeszcze masę czasu. - Samanta poklepała dłoń siostry.

- Ale robią się paskudnie silne i... - Przymknęła oczy i zaczęła oddychać głębokim wyuczonym ryt-

mem. -I są też - dopowiedziała po zaczerpnięciu długiego oddechu - coraz częstsze.

- Jak częste? - zapytała Samanta, czując wzrastające napięcie.

- Co dziesięć minut.

- Dziesięć minut - powtórzyła. - Lepiej zawiozę cię do szpitala. Przeprowadzę samochód. Zostań tu - poleciła i popędziła co tchu do garażu.

Wsiadła do samochodu Sabriny, ale z przerażeniem stwierdziła, że silnik nie odpala. Po przekręceniu kluczyka usłyszała tylko warknięcie rozrusznika, potem nastąpiło jakieś prychnięcie i cisza.

- Nie zrobisz mi tego - szepnęła i z całych sił uderzyła w kierownicę. - Potrzebujemy cię.

Nie było sensu dłużej zastanawiać się, co jest z samochodem. Najwyraźniej nie miał zamiaru dać się uruchomić, a Samanta nie miała nawet pojęcia, gdzie szukać przyczyny problemu.

Pobiegła do domu i chwyciła za telefon w kuchni. Przynajmniej mogła zadzwonić do doktora Gatesa. Jęknęła z przerażenia, kiedy w słuchawce usłyszała głuchą ciszę.

Burza musiała uszkodzić linię telefoniczną!

Wróciła do salonu, w którym czekała na nią Sabrina. Zmusiła się, by nie okazać zdenerwowania i uklękła przed siostrą, aby spojrzeć jej w oczy.

- Sabrino, samochód nie chce ruszyć, a burza uszkodziła linię telefoniczną.

- No to wygląda na to, że mamy kilka problemów.

- Sabrina zaczerpnęła głęboki oddech.

- Wszystko będzie dobrze. - Samanta chwyciła dłoń siostry. - Pomogę ci wrócić do łóżka, a potem wezmę konia i pojadę do Double T. Jeśli po drodze nie spotkam nikogo z samochodem, wezmę ciężarówkę od Jake'a i przyjadę po ciebie. W większości ciężarówek zamontowane jest CB-Radio. Będę mogła zadzwonić do doktora.

- Sam, zanim to zrobisz, minie sporo czasu. Obawiam się, że nie damy rady dojechać potem do szpitala. Musisz wezwać doktora tutaj.

- Tutaj? - powtórzyła Samanta. Słowa zamarty jej na wargach.

Sabrina przytaknęła.

- W porządku. Nie martw się. Nie zajmie mi to wiele czasu. Wrócę tak szybko, jak to będzie możliwe.

Samanta pobiegła do stajni i nie tracąc czasu na siodłanie konia, wskoczyła na oklep na grzbiet wierzchowca.

Zmuszała konia do maksymalnego wysiłku. Pędziła tak, że wszystko dookoła wydawało się rozmyte jak za mgłą. Łomot kopyt niósł się echem po okolicy. Wiedziała, że każda minuta w drodze to dla osamotnionej Sabriny zwielokrotniony czas niepewności i obaw. Pochyliła się niżej nad końską grzywą i ścisnęła konia nogami.

Kiedy wreszcie wypatrzyła jeźdźców, spięła gwałtownie konia, zmuszając go do płynnego skoku przez ogrodzenie. Wierzchowiec sprawnie pokonał przeszkodę i pognął przez pole, rozpędzając przerażone bydło.

Kiedy dojechała do grupy postaci, ściągnęła wodze tak ostro, że o mały włos nie spadła na ziemię.

- Wariatko, co ty wyprawiasz? Chcesz skrócić kark?

- Wściekły Jake wyrwał jej wodze. - Jeśli za nic masz swoje zdrowie, miej litość przynajmniej nad koniem! Jak można tak gnać jak szalencie i skakać przez płoty?! Gdzie twoje siodło? Czy ty kompletnie postradałaś zmysły? Samanto!

- Sabrina... - wydyszała z siebie, usiłując z trudem złapać powietrze. - Rodzi... Telefony nie działają... Samochód się popsuł i nikogo nie było w pobliżu... Dan jest w mieście... Nie ma już czasu, żeby wieźć ją do szpitala. Muszę wezwać lekarza - wyjaśniała urywanymi zdaniami. W jej oczach pojawiły się łzy.

- W porządku, rozumiem. Uspokój się. - Obrócił się w siodle i krzyknął do jednego ze swoich ludzi:

- Wracaj na ranczo i ściągnij przez CB-Radio doktora Gatesa. Powiedz, że musi jak najszybciej dotrzeć do Sabriny Lomax na ranczo Lazy L.

Spojrzał na Samantę i oddał jej wodze.

- Jedziemy - polecił.

- Wracasz ze mną?

- No a jak myślałaś?

Jedynie co Samanta zapamiętała z tej jazdy, to niezwykła szybkość i przeciągły grzmot kopyt. Nie było czasu na rozmowy, na myślenie. Gnali jak szaleni. Zeskoczyła z konia, zanim ten się zatrzymał. Jake ponownie musiał chwycić jej wodze.

- Nie trać głowy, Sam - krzyknął za nią, kiedy pokonywała po dwa stopnie i wbiegała do domu.

W domu panowała cisza. Żołądek podszedł jej do gardła. Rzuciła się biegiem do sypialni.

Sabrina siedziała w łóżku, oparta o stertę poduszek.

- To było naprawdę szybko. Leciałaś na skrzydłach.
- Przywitała ją ciepłym uśmiechem.

- Tak jakby - odparła i odetchnęła z ulgą. - Wezwaliśmy już lekarza. Wszystko jest pod kontrolą. - Usiadła na brzegu łóżka i wzięła siostrę za rękę. - Jak się czujesz?

- Nieźle. - Ścisnęła dłoń Samanty, szukając wsparcia. - Ale cieszę się, że już wróciłaś. O, nadchodzi kolejny skurcz.

Samanta siedziała bezsilna i trzymała mocno rękę siostry, jakby próbując ulżyć jej w bólu.

- Możemy podziękować mamie za tę książkę o naturalnych porodach. - Sabrina westchnęła głośno i opadła na poduszki. - Hej, nie bądź taka wystraszona. Wszystko jest w porządku. O! Witaj, Jake. - Dostrzegł go stojącego w drzwiach sypialni. - Nie zauważyłam cię wcześniej. Wejdz, proszę, nie zarażam - uśmiechnęła się szeroko.

Przestąpił próg i wszedł do pokoju. Wyglądał na jeszcze wyższego i bardziej męskiego. Ręce trzyma w kieszeniach.

- Jak się masz? - spytał.

- W porządku. Widziałeś krowy przy porodzie, myślę, że nie ma tu wielkiej różnicy. - Skurcz bólu przeszył jej twarz, kiedy to mówiła. - Znowu...

Samanta uniosła rękę do policzka siostry.

Gdzie jest lekarz? - pomyślała przestraszona. Sabrina powinna być teraz w szpitalu otoczona przez specjalistów.

- Dziecku najwyraźniej się spieszy - jęknęła Sabri-

na z wysiłkiem. - Wybacz, Sam, ale nie możemy dłużej czekać.

Sparaliżowana strachem Samanta zdołała tylko pomyśleć, że nie ma pojęcia o odbieraniu porodów i kompletnie nie wie, co powinna teraz zrobić. Wstając z łóżka, odwróciła się do Jake'a:

- Przynieś mi czyste ręczniki, dużo czystych ręczników. I jakiś sznurek, i nożyczki.

- Jasne. - Na moment oparł dłoń na jej ramieniu.
- Jeśli będziesz mnie potrzebowała, zawołaj.

Kiwnęła głową, po czym poszła do łazienki umyć się. Szorowała dłonie i ramiona tak mocno, że zaczęły boleć.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła siostrę, kiedy wróciła do sypialni.

- Wiem. - Sabrina leżała na poduszkach. Miała zamknięte oczy. - Zamierzam urodzić to dziecko, Sam. I zamierzam zrobić to dobrze. Nie możesz tego zrobić za mnie, muszę być silna.

- Jesteś. - Odgarniając włosy z twarzy siostry, Samanta niespodziewanie zdała sobie sprawę, że to prawda. - Jesteś silniejsza, niż kiedykolwiek przypuszczałam.

Opanowanie i spokój wróciły w jej myśli i ruchy. Zabrała się za obowiązki położnej, jakby robiła to całe życie. Wycierała twarz siostry, liczyła z nią, oddychała, uspokajała ją i dodawała jej odwagi. Nie po to Sabrina tak wiele przeszła, żeby teraz stracić dziecko. Samanta robiła wszystko, by nie dopuścić do najmniejszego błędu. Tworzyły zgrany duet.

- W porządku. - Otarła pot z czoła. - Myślę, że tym

razem maleństwo wyjdzie na świat. Musisz mu pomóc, Sabrino.

Sabrina kiwnęła głową. Była blada, ale opanowana. Jej włosy pociemniały od wilgoci. Wstrząsnęły nią dreszcze, cała się napięła i jęknęła głośno. Po chwili cienki, przenikliwy głosik płaczącego maleństwa wypełnił pokój. Samanta trzymała w ramionach nowe życie.

- Och, siostrzyczko... - patrzyła na drobne, ruchliwe ciało w jej objęciach.

Do pokoju wpadł Dan, a dwa kroki za nim doktor Gates.

Nagle wszystko wydało się takie proste. Dan stał przy Sabrinie, trzymał ją swoimi dużymi dłońmi, a w zagłębieniu matczynych ramion leżało małe zawiniątko.

- Tylko jedno - westchnęła Sabrina, a jej oczy zaszkliły się. - Tobie zostawiam urodzenie bliźniaków. Mnie jedno dziecko na raz stanowczo wystarczy.

Jakiś czas później Samanta zamknęła za sobą drzwi i poszła w stronę kuchni. Jake wyczekiwał jej nadejścia.

- Dziewczynka - oznajmiła i opadła na krzesło. - Lekarz mówi, że jest wspaniała. Waży ponad trzy kilogramy. Sabrina czuje się dobrze. - Odgarnęła włosy z twarzy. - Chcę ci podziękować.

- Nic nie zrobiłem.

- Byłeś tutaj. - Spojrzała na niego. - To było dla mnie bardzo ważne.

- Cóż, Samanto, potrafisz znaleźć słabe punkty mężczyzny - uśmiechnął się do niej. - Poczekaj, przyniosę ci drinka.

Wrócił po chwili z karafką brandy i dwiema szklanekami. Usiadł naprzeciwko niej i napełnił oba naczynia.

- Nie jest to szampan, ale robi swoje. - Uniósł szklankę i uroczyście stuknął w naczynie Samanty. - Za matkę, dziecko i Samantę Evans. - Zrobił pauzę i dodał bardzo poważnie: - Bo to niezwykła kobieta!

Samanta ukryła twarz w ramionach i zalała się łzami.

- Tak bardzo się bałam. - Jej głos został stłumiony w jego ramionach, kiedy wstał i ją przytulił. - Tak nieprawdopodobnie się bałam, że stracę ich oboje.

- Już jesteś bezpieczna, Sam. I wszystko jest w porządku. Nie pozwoliłabyś, żeby Sabrinie lub dziecku cokolwiek się stało.

Oparła czoło na jego piersi i próbowała powstrzymać potok łez.

- Wygląda na to, że zawsze przy tobie się rozklejam.

- Chyba nie przejmujesz się tym specjalnie. - Poczowała jego usta muskające jej włosy i silne ramiona, które ją otaczały i podtrzymywały. - Większość ludzi nie szuka ideałów, Sam. To okazuje się nudne. Ty nigdy nie jesteś nudna - dodał, ujmując jej twarz w dłonie.

Pociągnęła nosem i uśmiechnęła się.

- Rozumiem, że to miał być komplement. - Pozwoliła sobie na chwilę słabości i oparła policzek na jego ramieniu. - Ja także nie uważam, że jesteś nudny.

- Wiesz... - Zaczepnie potargał jej włosy, a jego głos zrobił się podejrzanie łagodny. - To chyba najmiłsza rzecz, jaką mi kiedykolwiek powiedziałaś. A teraz wypij trochę. - Odsunął ją delikatnie od siebie i wręczył jej brandy.

Posłusznie wypła łyk i poczuła, jak krew szybciej popłynęła jej w żyłach, a mięśnie przyjemnie się odprężają.

- Sabrina zdecydowanie zniosła to lepiej niż ja. - Wypiła kolejny łyk.

Jake rozsiadł się w fotelu, wyciągnął nogi przed siebie i założył ręce za głowę.

- Kiedy od niej wychodziłam, leżała sobie spokojnie ze swą córeczką i wyglądała, jakby właśnie wróciła z pikniku. Dan natomiast sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał zemdleć. Ja byłam ledwo żywa. A Sabrina leży tam sobie spokojnie, piękna jak róża.

- Twoja siostra to dzielna dziewczyna.

- Wiem. - Spuściła oczy i zaczęła wpatrywać się w brzeg stołu. - Mówi, że ma teraz kogoś, kto jest od niej zależny. Chyba nadszedł czas, aby przestać odgrywać rolę starszej siostry. Ona już tego nie potrzebuje.

- A więc co teraz zrobisz? - zapytał.

- Zostanę tu jeszcze kilka tygodni, a potem wyjadę - Otrząsnęła się, widząc przed oczami wyłącznie pustkę.

- Dokąd?

Zacisnęła palce na swojej szklance.

- Do mojej pracy. Do mojego życia. - Wypiła do końca swój trunek.

- Nadal obstajesz przy wyjeździe stąd? - Uniósł swoją szklankę i wypił łyk. Złote refleksy, odbijające się w jego napoju, tańczyły po kuchni. - Nie widziałas jeszcze Wyomingu jesienią.

- To prawda. Nie widziałam - odpowiedziała, uni-

kając poruszania pierwszego tematu. - Może przyjadę tu w przyszłym roku. - Spojrzała na swe dłonie. Wiedziała, że w rzeczywistości nigdy tu nie wróci.

- Ona jest głodna! - krzyknął Dan, przerywając im. - Ledwo urodziła dziecko, a już woła, że jest głodna. Sam, kocham cię. - Poderwał ją z krzesła i podrzucił w górę. Jej śmiech zamienił się w pisk, stłumiony w niedźwiedzim uścisku jego ramion. - Przysięgam ci, że gdyby bigamia nie była prawnie zabroniona, ożeniłbym się z tobą.

- Jeśli zostałąbym w ogóle w jednym kawałku - zdołała wykrztusić, odwracając głowę i z trudem łapiąc powietrze.

- Pytam cię, Jake - zwrócił się do przyjaciela, nadal ściskając Samantę. - Czy znałeś kiedykolwiek taką wspaniałą dziewczynę?

- Nie. Tego nie mogę powiedzieć.

Samanta słyszała śmiech w jego głosie, choć z pozycji, w jakiej się znajdowała, nie była w stanie zobaczyć jego twarzy.

- Powiedziałbym nawet, że Samanta jest niepowtarzalna. Jedyna w swoim rodzaju.

Wstał, uniósł swoją szklanekę brandy i wzniosł toast za nich oboje.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Sam, rozpieścisz ją.
- O nie! To niemożliwe. Samanta siedziała na werandzie w bujanym fotelu, trzymając na rękach tygodniową Jennifer i uśmiechając się do siostry, powiedziała: - Ona jest zbyt inteligentna, żeby dać się rozpieścić. A poza tym to przywilej cioci.

Ponownie zaczęła się bujać w fotelu, całując miękkie, delikatne, ciemne włoski noworodka.

Już niedługo nie będę mogła tego robić, pomyślała. Spojrzała na masywne szczyty, błyszczące srebrnobiałym światłem w popołudniowym słońcu. Lekki wiaterek przynosił słodki zapach świeżo skoszonej trawy, mieszający się z wonią dziecięcych kosmetyków. Westchnęła. Nie spodziewała się, że taka mała istotka może tak okręcić ją wokół palca i zawładnąć kompletnie jej sercem. Kolejna ukochana osóbką, którą będę musiała opuścić. Za niecały tydzień będę musiała pożegnać się ze wszystkimi, którzy coś dla mnie znaczą: Sabriną, Danem, z całą krainą Wyomingu. A teraz jeszcze Jennifer.

A wszystko przez tego faceta, dodała w duchu.

Jake Tanner był pełen sprzeczności: arogancki i uprzejmy, wymagający i usłużny, porywczy i spokoj-

ny. Ale dla Samanty wszystko to składało się w jedno uczucie - miłość.

Niech cię diabli, Jake'u Tannerze, pomyślała. Gdyby nie ty, zostałabym tu. Należę do tego miejsca. Zrozumiałam to, kiedy pierwszy raz zobaczyłam góry. W Filadelfii nic na mnie nie czeka. Sprawiliś, że nie mam do czego wracać.

- Wygląda na to, że Lesley jedzie z wizytą - zauważyła Sabrina, wyrывая siostrę z zamyślenia.

Samanta spojrzała na drogę, którą zbliżał się do nich nowoczesny, kompaktowy samochód. Mimo uczucia zazdrości przyjęła obojętną postawę i skoncentrowała wzrok na śpiącym dziecku.

- Sabrino, świetnie wyglądasz. - Lesley wydawała się wyraźnie zaskoczona. - Minał ledwo tydzień, a ty wyglądasz tak... - Zawahała się, nie mogąc znaleźć słowa.

- Promiennie? - podpowiedziała Sabrina i zaśmiała się. - Wiesz, Lesley, właśnie urodziłam dziecko, a nie zeszłam ze stołu operacyjnego.

- No tak, ale przecież to wszystko wydarzyło się tutaj, i to bez pomocy lekarza - mówiąc to, zwróciła się do Samanty: - Słyszałam od Jake'a, że byłaś wspaniała i ze wszystkim dałaś sobie radę.

Samanta wzruszyła ramionami, niezadowolona, że słyszy pochwałę Jake'a z ust Lesley.

- To miło, że tak powiedział, ale całą pracę wykonała Sabrina - skomentowała.

- Cóż, ja myśl o posiadaniu dzieci odkładam jak najdalej - wzdrygnęła się Lesley. - Wolę teraz o tym nie

myśleć. - Nachyliła się nad śpiącym noworodkiem. - Jest taka słodka.

- Chciałabyś ją potrzymać? - zaproponowała Samanta.

- Och nie. - Lesley cofnęła się przestraszona. - Podejrzewam, że nie potrafię najlepiej obchodzić się z dziećmi.

Kiedy poruszyła się, Samanta zauważyła błysk dużego brylantu w pierścionku na jej lewej dłoni. Lesley podążyła za jej wzrokiem i wyciągnęła rękę do przodu.

- Pewnie nie wiedziałaś, że się zaręczyłam, prawda Samanto?

- Nie. - Samanta rzuciła okiem na siostrę. - Nic nie słyszałyśmy.

- No tak, byliście raczej zajęte. - Poruszyła palcem, bawiąc się refleksami światła, które lśniło w klejnocie. - A my nie ogłaszaliśmy jeszcze tego oficjalnie. Planujemy małe przyjęcie w przyszłym tygodniu. Prawdę mówiąc, właśnie jadę do miasta w poszukiwaniu wyprawki panny młodej. Oczywiście później będę musiała pojechać do Nowego Jorku po odpowiednie stroje. Datę ślubu wyznaczaliśmy na koniec września. - Zadbaną dłonią poprawiła swoje idealnie uczesane włosy. - Wolałabym nieco odleglejszy termin, ale faceci nie mają pojęcia, ile czasu zajmuje dopięcie takiej uroczystości na ostatni guzik. - Uśmiechnęła się. - No, muszę już lecieć. Mam masę spraw do załatwienia. Liczę na to, że pojawisz się na naszym weselu, Samanto.

- We wrześniu Samanty już tu nie będzie - odpowiedziała za siostrę Sabrina.

- Och, to niedobrze.

Smutek w głosie Lesley był niezbyt wyraźny. Jej myśli już dawno skupiały się wokół strojów. Wsiadła do samochodu, pomachała im szczupłą ręką i odjechała.

Sabrina wstała z fotela, wzięła od Samanty śpiacą Jennifer i weszła do domu. Kiedy wróciła, usiadła na fotelu bujanym i położyła rękę na ramieniu siostry.

~ Wiedziałam, że to kiedyś nastąpi - powiedziała cicho Samanta. - Miałam tylko nadzieję, że mnie już tu nie będzie. Nie sądziłam, że tak mnie to zaboli. Och, Sabrino. - Spojrzała na nią bezsilnie, załzawionymi oczami. - Co ja teraz zrobię?

Po raz pierwszy w ich życiu role odwróciły się. To Samanta szukała teraz oparcia i porady.

- Sam, nie możesz tego tak zostawić. Dlaczego z nim nie porozmawiasz? Coś tu jest nie tak i oboje powinniście o tym porozmawiać.

- Nie, nie pozwolę, żeby się nade mną użalał.

- Duma to nie najlepszy doradca - mruknęła Sabrina. Samanta wstała.

- W takim razie wyjadę wcześniej. Mogę załatwić podróż powrotną na pojutrze. A może nawet już na jutro wieczór.

- Sam, nie uciekniesz od tego - ostrzegła ją Sabrina.

- A właśnie, że tak.

- Mama i tata przyjadą dopiero za kilka dni. Będą niepokieszeni, że cię nie zastaną.

- Przykro mi. Wcale nie chcę się z nimi rozminąć, ale nie zniosę tego i muszę wyjechać. - Zrobiła pauzę i powtórzyła: - Nie zniosę tego.

- Ale Sam. - Sabrina stanęła przy poręczy werandy.
- Powinnaś przynajmniej porozmawiać z Jakiem. Nie chcesz wiedzieć, co on czuje? Wiem, jak on na ciebie patrzył. Nie możesz tak po prostu odlecieć do Filadelfii, nie rozmawiając z nim, nie żegnając się.

Samanta potrząsnęła głową i podeszła do drzwi.

- Nie pokazał się od dnia, w którym urodziłaś. Lesley Marshall ma na palcu jego pierścionek. Z brylantem. Jake ma to, czego chciał.

Cały wieczór Samanta pakowała się, a Shylock przyglądał się jej ze swojego miejsca na środku łóżka. Położywszy się wreszcie, większość nocy spędziła na wpatrywaniu się w sufit. Wstała, kiedy tylko zaczęło świtać. Jasnofioletowe cienie pod oczami były smutną pamiętką po ciężkiej nocy.

Idąc w stronę stajni, cieszyła się, że wszyscy jeszcze spali. Sprawnie osiodłała swojego konia i pognała galopem przed siebie. Kiedy niebo rozjaśniło się na dobre, powietrze wypełnił śpiew ptaków. Słuchała ze smutkiem tej pieśni z gór, bo wiedziała, że ta melodia na zawsze pozostanie w jej sercu. Patrzyła, jak góry zmieniają się wraz ze wschodem słońca. Po raz ostatni przyglądała się, jak znikające różowe i złote mgiełki odsłaniały dumne szczyty, które piętrzyły się w całej swej okazałości i połyskiwały w promieniach słońca. Wiedziała, że jej miłość do tej dzikiej, wolnej ziemi była na zawsze związana z jej miłością do Jake'a. Żegnając się z górami, żegnała się z nim. Zawróciła konia i pojechała z powrotem na ranczo.

Gdy weszła do domu, powitała siostrę wesoło, ale miłe słowa nie mogły zatrzeć wrażenia, jakie pozostawił widok jej oczu, przekrwionych z niewyspania. Sabrina, nic nie mówiąc, wycofała się do sypialni, żeby zająć się dzieckiem.

Samanta krążyła po pokoju. Wsuwając ręce w kieszenie džinsów, pomyślała, że jeszcze dziś wieczorem będzie na pokładzie samolotu, a jutro wszystko, co się zdarzyło w Wyomingu, będzie już tylko snem.

- Dzień dobry, proszę pani.

Obróciła się tak gwałtownie, że omal nie zrzuciła wazonu z różami. Jake stał oparty o framugę drzwi i wyglądał tak, jakby przyglądał się jej już od dłuższego czasu.

- Co ty tu robisz?

- Cóż, w zasadzie zamierzam cię wyprowadzić - leniwie wycedził przez zęby.

- Wyprowadzić mnie? O czym ty mówisz? Nie jestem jakimś cholernym psem czy zbłąkaną krową.

- Zbłąkana krowa brzmi całkiem nieźle. Ty zawsze uciekasz w złym kierunku. - Wyciągnął do niej rękę.

- Chodź, jedziemy. - Jego głos był uprzejmy, ale nieznośny sprzeciwu.

Odepchnęła jego rękę, wściekła z powodu tej bezczelności.

- Nie mam zamiaru nigdzie z tobą jechać. Dlaczego po prostu nie wyjdiesz i nie zostawisz mnie w spokoju?

- Nie mogę, Sam - odparł. - Już najwyższa pora, żebyśmy zajęli się kilkoma niedokończonymi sprawami.

Ogień w jej oczach przygasł.

- Nie mówisz poważnie? - spytała.

- Jak najpoważniej.
- A co na to Lesley?
- Nie jest zaproszona - wyjaśnił spokojnie.
- Nie jadę z tobą - powiedziała ze złością i lekkim niepokojem. - Nie zmusisz mnie.

Zatrzymał się i popatrzył na nią z góry.

- Jasne, że tak - oświadczył z wielką pewnością siebie. Jednym ruchem uniósł ją i zarzucił sobie na ramię.
- Widzisz? - Bez większego wysiłku ruszył przez korytarz.

- Puść mnie natychmiast! - Okładała pięściami jego plecy. - To niedopuszczalne! Wsadzę cię za to do więzienia.

- Poważnie? O rany, Sam, przestraszyłaś mnie nie na żarty - drwił z niej.

Szedł przez korytarz z taką swobodą, jakby niósł pusty worek, a nie wściekłą, wierzgającą kobietę. Zatrzymał się na chwilę, by uchylić kapelusza na widok Sabriny, która ukazała się w drzwiach sypialni.

- Dzień dobry, Sabrino - powitał ją przyjaźnie. Przechylił głowę i spojrzał na Jennifer. - A mała jest naprawdę śliczna.

- Dzięki, Jake. Też tak uważamy. - Uniosła dziecko do góry i uśmiechnęła się. - Wychodzicie?

- Jedziemy na małą przejażdżkę - odpowiedział. - Nie będzie nas jakiś czas.

- Piękny dzień na wycieczkę.

- Sabrino! - W głosie Samanty była desperacja. - Nie stój tak, tylko zrób coś! Nie widzisz, co on robi? Porywa mnie, zadzwoń po policję, zawołaj Dana - prosiła siostrę, ale Jake ukłonił się ponownie i ruszył dalej.

- Bawcie się dobrze! - krzyknęła za nimi Sabrina.

Zaskoczona Samanta przez chwilę nie mogła dojść do siebie, ale już po chwili stek przekleństw spadł na Jake'a, gdy ten brał wodze od rozbawionego kowboja.

- Zapłacisz za to - obiecała mu, ściskając mocno siodło, żeby nie spaść. - Nie możesz tak po prostu uciec ze mną.

- Nie widzę nikogo, kto próbowałby mnie powstrzymać - zauważył.

Jechał drogą przez jakiś czas, a potem skręcił przez pole w stronę grupki drzew. Kiedy do nich dojechali, zatrzymał konia i zeskoczył zręcznie na ziemię, ostrzegając Samantę, żeby nie próbowała uciekać, bo będzie musiał użyć lassa. Ściągnął ją z konia i bezceremonialnie posadził na trawie. Z szerokim uśmiechem stanął nad nią.

- Będziesz tego żałował - ostrzegała go. - Ja cię...
- Reszta słów ugrzęzła jej w gardle, gdy Jake położył się obok. - Ty... ty nie możesz tego zrobić, Jake. Nie jesteś typem faceta, który bierze kobietę siłą.

- Kto tak powiedział?

Popchnął ją na miękką trawę. Po chwili jego ciało przylgnęło do Samanty, przygniatając ją do ziemi. Poczowała, jak jej skóra pokryła się gęsią skórką, kiedy zaczął ją całować.

- Chyba nie zamierzasz tego zrobić?

- Już ci raz mówiłem. - Musnął wargami jej ucho. Jego głos był miękki i ciepły. - Są takie rzeczy, które po prostu musisz zrobić.

Złożył na jej ustach długi, namiętny pocałunek. Kiedy ich wargi rozłączyły się, Samanta wzięła głęboki oddech i wykrztusiła z siebie z furją:

- Co z ciebie za facet, że chcesz się kochać z jedną kobietą, a planujesz poślubić drugą?

Jego oczy zwięziły się. Podparł się na łokciu. Drugą ręką nadal przytrzymał ją na ziemi. Powoli rozpinął guziki jej bluzki.

- Czy zechcesz mnie oświecić i powiedzieć mi, kogo to niby mam zamiar poślubić?

Rozpiął kolejny guzik i pogładził delikatnie jej skórę. Samanta poczuła, jak krew pulsuje jej w żyłach. Teraz już tylko wzrokiem utrzymywał ją w bezruchu, obiema rękami rozchylając jej bluzkę. Dłońmi gładził jej miękkie, ciepłe ciało, co sprawiło, że rosły w niej namiętność i pożądanie.

- Powiedz mi, kogo mam zamiar poślubić, Samanto? - Przyłgął do niej całym swym ciałem.

- L... Lesley - wyjąkała.

- Nie.

Ucałował jej szyję, wodząc językiem po napiętej skórze. Poczuła, że jego dłoń zniża się i rozpina suwak jej dzinsów. Po chwili już gładził jej nagie biodro. Ostatnim przebłyskiem świadomości spróbowała odsunąć go od siebie.

- Proszę, przestań.

- Teraz już nie mogę, Sam. - Obiema rękami czule dotykał jej bioder, a po chwili ponownie pieścił jej piersi. - Czekałem wystarczająco długo, żeby zabrać cię w to miejsce.

- Ale ja nie zamierzam tu zostać ani chwili. Powiedziałeś, że nie ożenisz się z Lesley?

Uniósł się nad nią i zaczął bawić się jej włosami, owijając je sobie na palec.

- Chyba już to powiedziałem. Nie wiem, dlaczego zawsze upinasz włosy na czubku głowy. Wyglądają dużo lepiej, kiedy są rozpuszczone.

- Ale miała na palcu pierścionek od ciebie.

- Nie ode mnie - poprawił ją, nadal koncentrując się na zabawie jej włosami. - Twoje włosy rozjaśniły się przez te kilka ostatnich tygodni. Nie nosiłaś kapelusza. Les ma pierścionek z brylantem, prawda? Już ci kiedyś mówiłem, że brylanty do ciebie nie pasują. Są zimne i mało oryginalne. Ale to już problem Les. - Wzruszył ramionami i ponownie pokrył jej twarz deszczem pocałunków. - Jimowi to najwyraźniej nie przeszkadza.

Starła się z całych sił, żeby zrozumieć, o czym on mówi. Potrząsnęła głową.

- Les jest zaręczona z Jimem Baileyem. Jestem pewien, że pamiętasz Jima. Spędziliście razem sporo czasu podczas przyjęcia.

- Tak, ale...

- Bez „ale” - przerwał jej. - Les ma w zwyczaju jednocześnie chwytać kilka srok za ogon. Na wszelki wypadek, gdyby jedna jej uciekła. A kiedy okazało się, że ze mną jej się nie uda, bez większego problemu usidliła Jima.

- Ale myślałam...

- Wiem, co myślałaś - nie pozwolił jej skończyć.

- Że uciekniesz kilka dni wcześniej, czyż nie?

- Nie uciekałam. A w ogóle skąd wiesz, że miałam wyjechać?

- Sabrina mi powiedziała.

Samanta patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Wczoraj. Przyszła do mnie, kiedy się pakowałam. Lubię ten twój pieprzyk tutaj - mówiąc to, przycisnął usta do jej szyi. - Wprawdzie jest teraz ciężki okres dla hodowcy bydła, ale chyba znalazłbym czas na miesiąc miodowy.

- Miesiąc miodowy? - Drżała pod jego pocałunkami.

- Ostatecznie mam nadzorcę - rozważał, nie zwracając na nią uwagi. - Pewnie poradziłyby sobie przez jakiś czas. Myślałem o długim miesiącu miodowym w jakimś przytulnym, cichym miejscu. - Spojrzał na zaskoczoną Samantę. - Nie byłaś, mam nadzieję, nigdy na Bora Bora?

- Czy ty mówisz o tym, że zostawisz na jakiś czas ranczo, żeby wygospodarować czas na poślubienie mnie? - Starła się mówić spokojnie, ale emocje, które nią targały, przypominały gwałtowną letnią burzę.

- Ot, staram się być praktyczny - wyjaśnił z uprzejmym uśmiechem.

- Jak możesz, ty zarozumiały pyszałku! Co pozwala ci sądzić, że wyjdę za ciebie? Siedzisz tu sobie i snujesz jakieś plany, że ucieknę z tobą na Bora Bora jak jakiś posłuszny szczeniak. Ty szowinisto...

- A może na Antarktydę? - zaproponował. - Tam też nie ma tłumów.

- Ty oszalałeś! Nigdy nie powiedziałam, że wyjdę za ciebie! Jak w ogóle możesz tak myśleć?

Jej wybuch został brutalnie przerwany przez pocałunek, którym zaniknął jej usta. Kiedy odsunął się od niej, ledwo mogła złapać oddech. Nieco się uspokoiła.

- To ci nic nie pomoże. Wcale się w tobie nie zakochałam.

- Jeśli dobrze pamiętam, to niedawno mówiłaś, jaką to jesteś szczerą i bezpośrednią osobą. - Patrzył prosto w oczy Samanty. Przytrzymał jej brodę, żeby nie mogła odwrócić wzroku. - Mogłabyś popatrzeć na mnie i powiedzieć to jeszcze raz? Walczysz ze mną już dość długo i moja cierpliwość chyba się kończy. - Pocałował ją ponownie, a jego dłonie zachłannie sięgnęły po jej ciało. - Masz takie piękne ciało, a ja już nie mam siły dłużej się powstrzymywać. Sześć miesięcy to bardzo dużo, Sam. Pragnę cię od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem, od dnia, kiedy powiedziałaś Danowi, żeby zlecił swojemu pomocnikowi rozsiodłanie konia.

- Tak, rzeczywiście bardzo wczesnie dałeś mi do zrozumienia, czego chcesz. - Nie wrywała się już z jego ramion.

- Dałem ci powód do rozmyślań. Oczywiście sam nie wiedziałem, że chcę się z tobą ożenić. Stosunkowo łatwo było ci powiedzieć, że cię pragnę, ale trochę trudniej, że cię kocham. Sam, spójrz na mnie. - Potrząsnęła głową, ale palce na jej brodzie nie pozwalały się odsunąć. - Spójrz na mnie. - Posłusznie wykonała polecenie i spojrzała na niego oczami pełnymi łez. - Ty uparta, głupiutka istotko. Posłuchaj mnie uważnie. Nigdy nie mówiłem tego żadnej kobiecie i długo zwlekałem z powiedzeniem tego tobie. Jeśli szybko nie wyjdiesz za

mnie, to stracę zmysły. - Pocałował ją. Świat zawirował jej przed oczami.

- Nie rozumiem. - Patrzyła na niego, szukając wyjaśnień. - Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

- Wiesz, nie sądziłem, że uwierzysz, jeśli ci powiem, że tak ogromne wrażenie wywarło na mnie zdjęcie dziewczyny dwa razy młodszej ode mnie, a potem całkowicie straciłem głowę, kiedy zobaczyłem, jak ta dziewczyna się zmieniała. Gdybyś nie była tak zaafektowana pierwszymi chwilami w domu Sabriny, to zobaczyłabyś, jak wygląda kowboj rażony piorunem.

- Tak jak teraz? - Wciąż oszołomiona, przesunęła palcami po twarzy Jake'a, żeby upewnić się, że nie śni.

- Dokładnie tak - zgodził się i przycisnął jej dłoń do ust. - A kiedy już doszedłem do siebie, wiedziałem, że muszę przeczekać czas twojego bezgranicznego oddania Sabrinie i że potem w twoim życiu znajdzie się miejsce dla kogoś jeszcze. A potem zakomunikowałam mi, że zamierzasz wrócić do domu, jak tylko dziecko przyjdzie na świat. Omal cię nie udusiłem. - Uścisnął jej dłoń i spojrzał jej głęboko w oczy. - Jak mogłem w takiej chwili powiedzieć ci, że cię kocham, że chcę się z tobą ożenić, że chcę, abyś została w Wyomingu? W noc twojego przyjęcia urodzinowego, kiedy rozmawialiśmy w kuchni, zdecydowałem się, że nie pozwolę ci wyjechać, nieważne co miałbym zrobić, aby cię zatrzymać.

- Ale ja nigdy nie chciałam wyjechać. - Pokręciła przecząco głową. - Po prostu nie mogłam znieść myśli, że poślubisz Lesley.

- Wiesz, wszystko jeszcze bardziej by się skomplikowało, gdyby Sabrina nie wpadła do mnie i wszystkiego mi nie wyjaśniła. Ona zna cię lepiej, niż przypuszczałem. - Zaśmiała się. - Kazała mi usiąść i słuchać. Twierdziła, że nigdy w życiu nie widziała dwójki ludzi tak długo krążących wokół siebie i niepotrafiących do siebie trafić.

- To zupełnie niepodobne do Sabriny, wtrącać się w cudze sprawy.

- Zrobiła to cudownie. Przynajmniej przede wszystkim zapytała mnie, jaki mam interes w tym, że zaręczam się z Lesley. Musiałem zrobić idiotyczną minę. Kiedy udało mi się wytłumaczyć jej, że na sto procent nie jestem zaręczony z Lesley, wykrzyczała mi w twarz, że jesteś nieszczęśliwa, że wracasz do domu i że muszę być kompletnym głupkiem, nie widząc tego. Potem skrzyżowała ramiona i wysunęła brodę do przodu. Znam jeszcze jedną osobę, która robi dokładnie tak samo - uśmiechnął się. - Na koniec zapytała mnie, co do diabła mam zamiar z tym wszystkim zrobić.

Samanta wpatrywała się w niego, z niedowierzaniem kręcąc głową.

- Szkoda, że tego nie widziałam!

Uśmiechnął się i pochylił, aby ich oczy spotkały się.

- Spójrz czasem w lustro.

Zbliżyli się do siebie bez żadnych zahamowań. Jake przylgnął ustami do jej warg.

- Chcę usłyszeć, jak to mówisz, Sam - wymruczał do jej ucha. - Muszę to usłyszeć.

- Kocham cię. - Szukała zachłannymi ustami jego

ust. Przycisnęła go mocniej do swoich piersi. - Kocham cię, kocham.

- Pragnę cię, Samanto. - Jego dłonie poznawały jej ciało, jego ruchy były dzikie, natarczywe, spragnione. - Nigdy nie przypuszczałem, że mogę tak kogokolwiek pragnąć. Straciliśmy sześć miesięcy z naszego wspólnego życia. Ale teraz zamierzam to nadrobić i zajmować się tobą przez bardzo długi czas. - Wsunął palce w jej włosy i uśmiechnął się. - Bardzo długi czas.

Odwzajemniła uśmiech i objęła ramionami jego szyję.

- Również mam zamiar zajmować się tobą. Twoje krowy muszą pogodzić się z tym, że trochę je teraz zaniedbasz. - Zrzuciła jego kapelusz na trawę. - No dobrze, kowboju, zajmuj się mną!

- Tak, proszę pani. - Grzecznie kiwnął głową i zgodnie z jej życzeniem pochylił się nad nią, by ją pocałować.